EPOKA
TYGODNIK

ROK II | Warszawa, 9 kwietnia 1933 R. | NR. 15 (28

Wymowa tej tragedji...

Pożeracze dusz

Falanstery nędzy

Postęp w religjach

Ankieta o kryzysie duchowym

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Najnowsze książki.

AUTORZY: Krahelska. Wajsman. Krzywicki. Nałkowska. Lukrec. Wiewiórska. Wasowski. Kłosowski.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem
Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

DZIECI PONIŻEJ LAT 15-TU

Istnieje u nas zakaz zatrudniania dzieci poniżej lat 15-tu, mimo to jednak dzieci pracują zarobkowo w różnych gałęziach przemysłu, w rolnictwie i w służbie domowej. Na podstawie wykazów Kasy Chorych, Inspekcja Pracy Kobiet i Młodocianych stwierdziła, że np. w roku 1929 było takich dzieci 15.750. Wykazy te nie odzwierciadlają rzeczywistych stosunków. Dzieci zarobkujących może być dwa i trzy razy więcej! Pracodawcy bowiem z różnych względów nie zapisują tych małych pracowników do Kas Chorych, a majstrowie unikają zapisywania ich do cechów.

Według cyfr, podanych przez Inspekcję Pracy z 9-ciu okręgów, 3.1% dzieci w wieku „nielegalnym" pracowało w przemyśle, 17,2% w rzemiośle, 24.4% w służbie domowej, 37,2% w rolnictwie, reszta 17.7% w innych zawodach, w handlu, komunikacji i t. d.

Najwięcej więc dzieci pracuje w rolnictwie. Przeważnie 13-to i 14-toletnie, czasami nawet młodsze.

Inspekcja Pracy w walce z temi nadużyciami, zwróciła szczególną uwagę na usuwanie dzieci z hut szklanych, cegielni i kaflarni, dalej z restauracyj i kawiarni.

W jakim stopniu zatrudnione są dzieci w drobnych warsztatach i w pracy domowej, trudno dociec. Stwierdzono jednak, że np. liczba dziewcząt poniżej lat 15-tu zatrudnionych, jako „nianie", znacznie wzrosła w ostatnich czasach.

KOBIETY W RADACH UBEZPIECZEŃ SPOŁECZNYCH

W ustawie „scaleniowej", obejmującej nową organizację całości ubezpieczeń społecznych w Polsce, wprowadzono ważne zastrzeżenie, dotyczące udziału kobiet w stanowiskach nominatów w Radach wszystkich kategoryj administracji ubezpieczeń. Według tego zastrzeżenia, we wszystkich Radach instytucyj ubezpieczeniowych (Izby Ubezpieczeń Społecznych, 4-ch Zakładów i kilkudziesięciu ubezpieczalni krajowych) wśród członków - nominatów musi być *przynajmniej jedna kobieta.*

Prócz miejsc członków Rad z nominacji, kobiety mogą oczywiście zajmować stanowiska z wyboru do wszystkich wymienionych ciał.

Warto podkreślić, że liczba kobiet, ubezpieczonych np. w ZUPU sięga 25% ogółu ubezpieczonych, w Kasie Chorych przekracza 30%.

Z »PORADNI ŚWIADOMEGO MACIERZYŃSTWA«

I-sza Poradnia Świadomego Macierzyństwa, Sekcji Regulacji Urodzeń, Robotniczego Towarzystwa Służby Społecznej, otwarta została w Warszawie dnia 27 października 1931 r. Pierwsze ścisłe statystyczne sprawozdanie obejmowało dane od dnia otwarcia do dnia 31 grudnia 1931 r. Obecnie sporządzono materjał znacznie obfitszy — bo obejmujący całe pierwsze półrocze 1932 r.

W tym okresie przyjęto 2262 kobiety — w czem pierwszy raz 1667, powtórnie 595. Szczegółowa statystyka obejmuje tylko nowozgłoszone, a więc 1667 przyjętych.

Odmówiono przyjęcia z powodu brzemiennego stanu — 825 kobietom.

Stosunek zgłaszających się kobiet ciężarnych do szukających zapobiegania ciąży znacznie się zmniejszył i przeciętnie przedstawia się jak 1:2, podczas gdy w pierwszych miesiącach kobiety zupełnie nie rozumiały zadań tej poradni i stosunek nieprzyjętych do przyjętych wynosił 5:3. Znacznej części zgłaszających się kobiet wydawało się, że celem Poradni jest spędzanie płodu! Taką zresztą, oszczerczą opinję o Poradni szerzyły pisma klerykalne. Na widocznem miejscu zawieszono w Poradni napis: „Tu się nie przerywa ciąży".

Rozwój uświadomienia szerszych mas ludności w sprawie Świadomego Macierzyństwa przedstawia się następująco:

Od 27/X - 31/X	- 1931 r.	przyjęto	49	odmówiono	115
„ 2/XI - 30/XI	„	„	312	„	554
„ 1/XII - 30/XII	„	„	302	„	245
Styczeń	1932 r.	„	251	„	268
Luty	„	„	308	„	157
Marzec	„	„	275	„	187
Kwiecień	„	„	302	„	100
Maj	„	„	265	„	51
Czerwiec	„	„	266	„	63

Liczba sztucznych poronień, zadeklarowanych przez 1667 kobiet wynosiła w tym okresie 915. W tem 363 miało 1 sztuczne poronienie, 214 po 2 poronienia, 137 po 3 poronienia, 68 po 4 i 133 po 5 i więcej, z maksymalną liczbą 15 poronień na 1 kobietę.

Śmiertelność dzieci: na 3175 urodzeń — 521 zgonów.

Warunki mieszkaniowe pacjentek: po 2 osoby w jednej izbie 133 pacjentki, po 3 osoby — 160, po 4 osoby 167, po 5 osób — 124, po 6 osób — 150, po więcej, niż 6 osób — 107 pacjentek. W mieszkaniach dwuizbowych — 20% pacjentek, w trzyizbowych— 12%.

PARTJE SOCJALISTYCZNE W EUROPIE

Liczebne siły partyj socjalistycznych w Europie wzrastały stale po zakończeniu wojny światowej, zwłaszcza jeśli rozpatrywać będziemy rozrost tego obozu pod kątem widzenia parlamentaryzmu.

Cyfrowo tendencja ta przedstawia się, jak następuje:

We Francji liczba mandatów poselskich wzrosła z 70 w r. 1919 do 153 w r. 1932, w Szwecji z 62 w r. 1919 do 112 w r. 1932, w Anglji z 57 do 65-ciu, w Danji z 48 do 62, w Norwegji z 37 do 47, w Szwajcarji z 41 do 52, w Belgji z 70 do 76, w Hiszpanji z 6 do 124.

W Austrji utrwaliło się pewne status quo przedstawicielstwa parlamentarnego socjalistów, gdyż w r. 1919 liczba mandatów poselskich z ramienia partji socjaldemokratycznej wynosiła 73, a w r. 1932 — 72; to samo zjawisko można zaobserwować w Ho-

landji, gdzie zasiadało w parlamencie w 1919 r. 24 posłów socjalistycznych, a w 1932 r. — 26-iu.

Zmniejszyła się liczba posłów socjalistycznych w Finlandji, gdzie w r. 1919 zasiadało ich w parlamencie 82, a w 1932 r. liczba ta spadła do 66-iu. Ilość posłów socjalistycznych w Niemczech nie uległa w tym okresie zmianie.

Bardzo nieznaczne cofnięcie się socjalistów na terenie parlamentarnym zanotować można w Czechosłowacji, gdzie w r. 1919 wybrano 140 posłów socjalistycznych, a w 1932 r. — 131.

Cyfry powyższe nie przesądzają oczywiście wniosku o sile potencjalnej partyj socjalistycznych, gdyż przykład Niemiec świadczy wymownie o możliwej słabości partji potężnej liczebnie.

BEZROBOTNE PIĘŚCI

Przemysł bokserski w Stanach Zjednoczonych przeżywa okres głębokiej depresji. Jak stwierdza sekretarz nowojorskiej komisji bokserskiej Bert Stand, „z pośród 6.000 licencjonowanych bokserów zaledwo 200 rozporządza wystarczającemi środkami na utrzymanie, a reszta (5.800!) przymiera głodem". „Całemi miesiącami czekają oni na upragniony mecz, a gdy go wreszcie dostaną, cały mizerny zarobek rozpływa się po kieszeniach managerów i trenerów".

Bezrobocie pięści bokserskiej nie jest jeszcze tragedją w naszych tragicznych czasach nędzy i bezrobocia miljonów. Zmierzch sławy bokserów i spadek zainteresowania śród publiczności amerykańskiej dla tego rodzaju zapasów jest raczej objawem sympatycznym. Rozbijanie sobie nosów i szczęk, uprawiane przemysłowo, trudno zaliczyć do objawów kultury społecznej, a nawet fizycznej.

NIE PRZEMILCZAMY PRAWDY

W n-rze 8-ym *„Epoki"* z dn. 20 listopada ub. r. podaliśmy notatkę statystyczną p. t. „Studja zagraniczne", w której zwrócono uwagę, że rok rocznie udaje się z Polski na studja zagranicę ok. 8.000 osób i wydaje tam 20 do 25 miljonów zł. rocznie. „Gdyby zatem dodano w tej notatce — w ciągu 3 — 4 lat wydawano tę sumę na rozszerzenie istniejących zakładów lub na stworzenie nowych, to niewątpliwie zatrzymalibyśmy w kraju sumę powyższą, co bynajmniej obojętne nie jest".

Obecnie dziennik lwowski *Chwila* w artykule o położeniu akademików Żydów pisze:

„Nie można mieć pretensji do szowinistycznej części polskiej opinji publicznej, że przemilcza i przechodzi do porządku dziennego nad sprawami żydowskiej emigracji studenckiej. Dziwić się tylko należy jeśli pismo o takim poziomie jak „Epoka" snując refleksje na temat wielotysięcznej rzeszy emigracji studenckiej z Polski i obliczając, że emigracja ta wywozi z kraju corocznie około 25 miljonów zł., nie wspomina ani słowem o tem, że olbrzymią większość tych studentów emigrantów stanowią Żydzi, którzy byli zmuszeni opuścić Polskę z powodu numerus clausus na polskich wyższych uczelniach".

Autor naszej notatki statystycznej nie analizował tej strony sprawy, którą obecnie wyjaśnia *Chwila*. Możemy zapewnić redakcję *Chwili*, że *Epoka* nie ma żadnego powodu do przemilczania prawdy.

WYMOWA TEJ TRAGEDJI...

W nr. 83 „Gazety Polskiej", w artykule pod tytułem „Klimontowska tragedja" mówi się o tem, że tragedja klimontowska jest tak szeroka, jak Polska i, żeby mieć o niej sąd prawidłowy, należy ogarnąć jednem spojrzeniem: przymierającą głodem wieś polską i zamierający przemysł. Bardzo słusznie — wszystkie zagadnienia gospodarki narodowej należy rozpatrywać łącznie.

Ale może dlatego właśnie, że „tragedja Klimontowa jest uchwytna, widoczna, dramatycznie skoncentrowana", — pozwala ona dojrzeć i uchwycić wyraźniej rozmaite strony w skomplikowanem zjawisku trapiącej nas klęski.

W postawie górników, którzy, omdlewając i słabnąc, a nie ustępując, zwycięsko przetrwali w jedynym w swoim rodzaju strajku głodowym pod ziemią, występuje znów — (pisaliśmy już o tem w „Epoce")— przejaw zbiorowej inicjatywy robotniczej: walki o prawo do pracy, walki o prawo do życia. Obserwowaliśmy — podobny w innych warunkach przejaw zbiorowej inicjatywy bezrobotnych górników śląskich, eksploatujących bieda-szyby i tam mieliśmy do czynienia z walką o prawo do pracy, prawo do życia. Pomimo całego straszliwego tragizmu walki Klimontowskiej, uwypuklonego tak jaskrawo w świetnych sprawozdaniach świadków, jak Kazimiery Muszałówny (w „Kurjerze Porannym" z dnia 26 marca); pomimo długich dni udręki górników pod ziemią, a rodzin ich — na powierzchni, — świadomi jesteśmy pierwiastków jasnych i twórczych, jakie zawiera taka zbiorowa inicjatywa robotników i bezrobotnych: jest to bądź co bądź początek „zwycięskiego przełamywania psychozy kryzysowej" podług określenia p. Pawła Musioła w „Państwie Pracy": jest to początek zerwania z bezradnem, biernem, bezopornem poddawaniem się klęsce, jest to zwrot — od śmierci ku próbom wydostania się na powierzchnię życia. — Gdy premjer Prystor powiedział, że kryzys może się stać jeszcze w skutkach „błogosławiony", życiowe szanse realizacji tej zapowiedzi widzimy przedewszystkiem w odradzającej się inicjatywie mas, w ich wielkiej tężyźnie, a również — w wydźwignięciu ponad kwestję takiej czy innej rentowności przedsiębiorstwa — zasady prawa człowieka do pracy.

Z całą bezprzykładną jaskrawością wystąpiła w tragedji Klimontowa — absurdalna sprzeczność pomiędzy interesami państwa, gospodarki narodowej, całego społeczeństwa, a interesami drobnej grupki ludzi — właścicieli tych warsztatów pracy.

Czas już uwolnić się od szkodliwej — i zresztą, śmiesznej! — sugestji utożsamiania interesów gospodarki narodowej z interesami poszczególnych kapitalistów, z mniej lub więcej wybujałemi ich apetytami odnośnie rentowności przedsiębiorstw. W konflikcie Klimontowskim stanęły przeciw sobie w całkiem obnażonej postaci: kwestja takiej lub innej wysokości zysków kapitalisty z jednej strony, — a z drugiej — znaczne pogłębienie bezrobocia w danym ośrodku, podcięcie konsumcji w tym samym stosunku, prawdopodobieństwo wstrząsów i masowych

aktów rozpaczy, narastanie nastrojów, wrogich państwowości polskiej.

Waga gatunkowa i znaczenie tych dwóch pozycyj, ważących się na szalach w zatargu Klimontowskim, nie zdaje się nasuwać wątpliwości. —

Tragedja Klimontowska mogłaby wywołać nieprzewidziane komplikacje z punktu widzenia interesów państwa, gdyby rząd nie interwenjował w tym wypadku w kierunku poparcia żądań górników. Podobnie — przed paru tygodniami — rząd musiał bardzo zdecydowanie interwenjować w sprawie zamierzanej przez przemysłowców węglowych obniżki płac górniczych, ażeby nie dopuścić do tej obniżki. Niestety, po wyraźnem wypowiedzeniu się rządu w tej sprawie na Śląsku, przemysłowcy Zagłębia Dąbrowskiego uważali za właściwe opierać się jeszcze, przenosząc ryzyko i straty, związane ze strajkiem nad przykrość podporządkowania się woli rządu, niepokrywającej się z interesem ich kieszeni. — Oczywiście, co do lojalności przemysłowców — nie możemy mieć złudzeń. Od lat stosowali oni w Polsce jedną i tę samą politykę: w chwili, kiedy spadek konjunktury gospodarczej, lub też ustawy, czy zarządzenia państwowe zmuszały ich do ograniczenia wysokości zysków, natychmiast wyszczerzała zęby pogróżka: „zamykamy warsztaty pracy"! Każdy z ministrów pracy i przemysłu, każdy wojewoda wielekroć tą groźbą bywał, czasem w chwili istotnie ciężkiej, szachowany.

Czas tedy naprawdę ową lojalność przemysłowców ujrzeć we właściwem świetle. Zgadzamy się z założeniem „Gazety Polskiej", że Polska nie ma innej drogi wyjścia, tylko musi się uprzemysłowić. A także, że ze względów konkurencyjnych — musimy pracować nie drożej od innych. Tylko trudno zrozumieć, ażeby, w warunkach rzeczywistości polskiej, należało wymieniać wciąż jeszcze — narówni z tanim surowcem i tanim kapitałem: tanią pracę. Wiemy przecie, że praca w Polsce należy do najtańszych, w porównaniu z pracą u zagranicznych konkurentów. Wiemy, że jeżeli przeciętny zarobek tygodniowy górnika, np., wynosi 41 zł, to w dalszym ciągu obniżać go niepodobna. Wiemy i to, że przeciętna wydajność robotnika w kopalni węgla na dole wynosi w Polsce 1874 kg., gdy w Anglji — 1395, Francji — 987 i t. p. Nie w tej stronie tedy szukać należy warunków, ułatwiających konkurencję. Tanią pracę mamy i tańszej nie powinniśmy mieć. Mamy natomiast drogi kapitał i jeszcze droższe pośrednictwo i w tych to właśnie pozycjach należy szukać warunków ułatwienia Polsce konkurencji z innemi państwami. Potanienie kapitału w przemyśle można byłoby osiągnąć w drodze przeprowadzenia ustaw, analogicznych do świeżo uchwalonych przez Sejm, dotyczących kapitałów, zaangażowanych w rolnictwie. Podczas ostatniej akcji rządowej obniżania cen węgla, cała prasa bodaj oświetlała zagadnienie kosztów pośrednictwa w tym przemyśle: jeżeli koszta te wynoszą przeciętnie powyżej 20 zł na tonnę, czyli równają się prawie kosztom własnym kopalni, — jasnem jest, że tu, podobnie do innych przemysłów, tkwi źródło drożyzny produktu, nie zaś w kosztach pracy i w rozmiarach świadczeń socjalnych, które, w stosunku np. do tejże tonny węgla, wynoszą poniżej 2 zł!

Kwestja wyższej lub niższej rentowności warsztatu pracy nie może decydować o likwidacji danego warsztatu dziś, w okresie najgłębszego kryzysu, gdy spadek tej rentowności zależy w pierwszym rzędzie od spadku konsumcji, której nie podniesie dodatkowe bezrobocie zwolnionych przy likwidacji robotników-konsumentów. Górnicy Klimontowa, rozumiejąc ten wzgląd, podjęli walkę przeciw zniszczeniu warsztatu pracy.

Jeżeli od przemysłowców zażądać pogodzenia się w okresie kryzysu z mniejszą rentownością przedsiębiorstw, nie będzie to, naprawdę, niesprawiedliwe żądanie. Z jakiego tytułu mają być uprzywilejowani w porównaniu z całą resztą społeczeństwa? Zresztą mają poważne rezerwy, które mogą naruszyć. Uposażenia wyższych funkcjonarjuszy administracji fabryk nie zostały, pomimo rozporządzenia Prezydenta, obniżone zgodnie z wymaganiami tego rozporządzenia; ofiarność przemysłowców w dziedzinie ich solidarności klasowej (wspomaganie Lewiatana i innych klasowych organizacyj przemysłu) jest też bardzo, jak na te czasy szczególnie, hojna... Bezrobocie wsi, brak konsumenta na produkty wiejskie, wiąże się ze wzrostem bezrobocia w przemyśle, z kurczeniem się szeregów konsumentów w miastach. Oczywiście, podniesienie zatrudnienia wysuwa się już od paru lat, jako naczelne zadanie rządu. Można tego dokonać w drodze skrócenia czasu pracy. Trudno też naprawdę zrozumieć, dlaczego dziś, gdy cały świat uznał tę zasadę, mamy iść w odwrotnym kierunku; dla jakiej racji, gdy w r. 1931 rząd umiał tak przekonywująco argumentować konieczność znowelizowania ustawy o czasie pracy, z tem, żeby uzyskać możność skracania czasu pracy; — dziś, w obliczu pogłębionego kryzysu, przekonywać nas mają i mają się stać celowemi odwrotne posunięcia?

Jeżeli należy wszystko uczynić dla osiągnięcia tego naczelnego zadania — podniesienia stanu zatrudnienia i konsumcji — to w pierwszym rzędzie wypadnie nie odstąpić przed konfliktem z grupą panów o wybujałych apetytach egoistyczno - klasowych, o słabej lojalności, małej troskliwości o sprawy publiczne polskie, w bezceremonjalnym stosunku do polskiego robotnika. Wypadnie kroczyć konsekwentnie po linji, zapoczątkowanej na odcinku węgla.

Na tej linji — nie wątpimy — niedługo znaleźć się musi i rewizja powziętych zamierzeń odnośnie czasu pracy i urlopów.

Polska racja stanu wymaga napewno, ażeby elementarne potrzeby całej ludności mogły być zadowolone. Wymaga napewno, żeby każdy obywatel polski, żyjący z pracy, mógł realizować swe prawo do pracy i zarobić na życie wraz z rodziną. Ażeby były czynne warsztaty pracy i żeby państwo wzmogło swą ingerencję w tej dziedzinie: zabezpieczyło się przed możnością niszczenia aparatury przemysłu polskiego gwoli interesom jednostek.

Jeżeli w ramach ustroju kapitalistycznego można było „pokrzywdzić" pod tym względem kamieniczników, wprowadzając ochronę lokatorów, można sobie i tu jakoś poradzić. *Halina Krahelska*

„... Największą bowiem niesprawiedliwością jest wydawać się sprawiedliwym, gdy się nim nie jest istotnie". PLATON („Rzeczpospolita").

„Pisz, jakbyś sam był we wszechświecie i jakbyś nic a nic się nie bał zazdrości i przesądów ludzkich,— inaczej chybisz celu". JULIEN OFFRAY DE LA METTRIE („Discours préliminaire").

FALANSTERY NĘDZY

W Niemczech próbowano skierować szeroko rozlaną falę bezrobocia w łożysko Ochotniczej Służby Pracy (FAD), by za pomocą napółmilitarnego regime'u ująć ją w karby „ładu i porządku". Ochotnik otrzymuje w obozie Służby pracy wyżywienie, mieszkanie, nawet kilkofenigową dniówkę na swe potrzeby — wzamian podlega dyscyplinie wojskowej w zwartych oddziałach roboczych, przeznaczonych do budowy dróg, boisk sportowych, robót meljoracyjnych i t. d. Tęsknota do tradycyjnego militaryzmu pruskiego z niepowstrzymaną siłą owładnęła nawet akcję pomocy dla bezrobotnych. Nie koniec na tem: rząd bynajmniej nie ukrywał, że pomoc ta nie jest głównym celem FAD, że jest raczej pretekstem dla osiągnięcia określonych celów politycznych.

Rządowi chodzi nietylko o sugestję wielkiej akcji pomocy społecznej i rozbudowy gospodarczej, ale również dąży on do przetworzenia niebezpiecznej w swym radykalizmie masy bezrobotnej młodzieży w organizacyjne kadry jakiejś nowej, upaństwowionej gwardji. Nic więc dziwnego, że w masach od samego początku panowała nieufność do tych oryginalnych falansterów reakcji wojskowej, próby zaś użycia oddziałów roboczych od łamania fali strajków przeciw niedawno zadekretowanej obniżce płac, wypadki rugowania z kolejnictwa i robót komunikacyjnych niewykwalifikowanej siły roboczej przez napółbezpłatną (około 30 fenigów na godzinę) pracę oddziałów ochotniczych — wszystko to ostatecznie skompromitowało je w oczach uświadomionych robotników. Zwerbowani ochotnicy nie wytrzymali w więzieniach generalskiej dyscypliny i mimo wzrostu bezrobocia, porzucają szeregi Służby. Cały szereg obozów rozleciał się doszczętnie; ostatnio np. donosiły pisma o likwidacji obozu berlińskiego w Vogtsbrögge (pod Havelbergiem).

Masy robotnicze, stroniące od tych placówek reakcji, jeszcze bardziej stroniące od wszelkiej filantropji, w walce ze skutkami bezrobocia weszły ostatnio na tory samopomocy, stwarzając zupełnie nowe formy współpracy i współżycia kolektywnego. Punktem wyjścia dla tej akcji była organizacja kolektywów kuchennych. Niezmiernie nizkie zasiłki bezrobotnych, niemniej nizkie zarobki częściowo zatrudnionych stwarzającą rozpaczliwą wprost sytuację w indywidualnych gospodarstwach domowych, skazanych na ciągłe, jakościowe i ilościowe pogarszanie wiktu większości niemieckiej klasy robotniczej. By polepszyć jakość pożywienia, a jednocześnie zmniejszyć jego koszty, w Berlinie i Frankfurcie nad Menem, a ostatnio, za ich przykładem, w szeregu innych miast — bezrobotni dali inicjatywę do tworzenia kolektywów kuchennych, któreby hurtowo zakupywały towary spożywcze i przygotowywały pożywienie dla wszystkich bezrobotnych, mieszkających w danym domu, lub jego bezpośredniem sąsiedztwie. Kolektywy te nie są obciążone kosztami administracji, praca w nich wykonywana jest kolejno i bezpłatnie przez członków kolektywu; jedynem wynagrodzeniem nielicznego, stale zatrudnionego personelu, składającego się również wyłącznie z bezrobotnych, jest porcja pożywienia. Dzięki temu np. w Berlinie koszt pożywienia nie przekracza 25 fenigów za litr — suma parokrotnie mniejsza od kosztów jedzenia, przygotowanego w gospodarstwach indywidualnych. Za stosunkowo niewielką wkładkę tygodniową członkowie kolektywów otrzymują całkowite pożywienie dla siebie i członków swych rodzin. Początkowo odosobnione, kolektywy kuchenne zaczęły się ostatnio łączyć w „Strzechy" mające na celu wspólne zakupy większych partyj towaru i wynajdywania źródeł dochodu, któreby pozwoliły na subsydjowanie i udzielanie kredytów poszczególnym kuchniom oraz ich członkom, nie mającym środków na uiszczanie nawet tak małych wkładek na żywność. Nizka cena i wysoka jakość pożywienia w tych kolektywach pociągnęła do nich i robotników pracujących; opłaca się im nawet uiszczenie specjalnej, wyższej składki tygodniowej, z której nadwyżka idzie na pozbawionych zapomóg członków kolektywu. Dzięki temu w niektórych kolektywach berlińskich bezrobotni, nie otrzymujący zapomóg, mogą otrzymywać pożywienie za opłatą dziesięciu fenigów za litr.

Przygotowanie pożywienia było tylko pierwszym krokiem do dalszej kolektywizacji życia bezrobotnych. Dzieci bezrobotnych chodzą w dziurawych bucikach, nie mają ubrania, meble niszczeją, rujnują się mieszkania. Brak odzieży, obuwia, mebli, gdy tysiące szewców, krawców i stolarzy nie znajduje pracy dla siebie. Bezrobotni przełamują zaporę kapitału, dzielącą spożywcę od wytwórcy. W szeregu kolektywów zjawia się nowa dziedzina współpracy: bezrobotni szewcy, krawcy, stolarze oddają swą bez użyteczną siłę roboczą na potrzeby kolektywu. Zawartość śmietników berlińskich ubożeje coraz bardziej — najmniejszy strzęp tkaniny, stare obuwie, połamane sprzęty — wszystko znajduje zastosowanie w warsztatach kolektywów. Pracownicy ich dokonywują cudów zręczności, by przy pomocy najnieprawdopodobniejszych materjałów utrzymać w stanie używalności odzież, obuwie i mieszkanie swoich towarzyszy. A zapłata? — często żadna — conajwyżej bezpłatna porcja zupy.

Niektóre kolektywy idą jeszcze dalej — rozszerzają zakres swego działania na dziedzinę hygjeny i kultury, wciągając do swych prac bezrobotną inteligencję zawodową. Obok szewca, krawca i stolarza, na tych samych prawach zjawia się nowy pracownik kolektywu — lekarz i nauczyciel. Więcej jeszcze. Lekarze w większych miastach niemieckich stwierdzają, że połowa dzieci ze szkół powszechnych zagrożona jest gruźlicą. Warunki domowe — ciasnota pomieszczeń, brak opału i brud stawiają groźny znak zapytania nad całem pokoleniem proletarjatu niemieckiego. By bodaj dzieci uratować przed straszliwemi skutkami bezrobocia, jeden z kolektywów powziął plan niezwykle doniosły i śmiały: ponieważ dziecko nie znajduje w rodzinie warunków do życia, wychowanie dzieci oprzeć na zasadach kolektywnych — w granicach domowego kolektywu bezrobotnych stworzyć kolektyw dziecięcy. Całe życie robotnika — rodzina, zaspakajanie potrzeb fizycznych i umysłowych — przybiera formy kolektywne. Zwykły berliński, czy lipski dom czynszowy staje się falansterem nędzy.

Jeszcze śmielej poczyna sobie bezrobotna młodzież proletarjacka. Bezrobocie i nędza oddawna już rozbiły szereg rodzin robotniczych, wyrzucając

na bruk masy bezdomnej młodzieży. „Bezprizornyje" — zjawisko prawie zupełnie zlikwidowane w Z. S. R. R. — odżywa we wszystkich krajach dotkniętych bezrobociem. Tchnące grozą powieści Lamma i Haffnera nie oddają całej prawdy, nie mogą jej oddać suche protokuły policyjne — nadciąga nowa, rosnąca klęska społeczna. Podobnie, jak bezrobocie dorosłych, tak i bezrobocie młodocianych próbował rząd wcisnąć w łożysko militarystycznego „Notwerk der deutschen Jugend". Ogromna większość młodzieży robotniczej unikała tych obozów, podobnie, jak starsi — obozów ochotniczej służby pracy. Młodzież znalazła inną drogę. We Wrocławiu grupa młodzieży robotniczej i (podkreślić to należy) studenckiej wynajęła i własnemi siłami urządziła większy lokal, tworząc kolektyw mieszkaniowy, w którym pomieszczenie wraz z opałem i praniem kosztuje zaledwie 9 marek miesięcznie (pomieszczenie prywatne conajmniej 4 m. tygodniowo). Wkrótce kolektyw podjął się i wyżywienia swych członków, organizując wspólną kuchnię, w której całkowite utrzymanie kosztuje niewielką sumkę, pokrywaną przez członków z otrzymywanych zapomóg dla bezrobotnej młodzieży. Podobnież i w Berlinie, ale już z udziałem związków zawodowych, zorganizowana „Erwerbslosenhilfe" stworzyła dla młodzieży robotniczej kolektyw, w których mieszkanie i całkowite utrzymanie kosztuje 6 m. tygodniowo.

Wymienione organizacje młodzieży opierają się na kolektywizacji spożycia, wśród tworzących się jednak stowarzyszeń znaleźć można również zaczątki kolektywów wytwórczych. Tak np. wspólnota pracy bezrobotnych młodocianych członków związków zawodowych założyła w Morungshof (pod Sangerhausen) klub oświatowy, który szybko przekształcił się w kolektyw rolny, zajmujący niewielką wprawdzie przestrzeń (6 morgów), ale już dostarczający członkom pożywienia i pomyślnie nadal się rozwijający.

Przykłady powyższe nie obejmują bynajmniej całości ruchu, który w ostatnich miesiącach zaczyna przybierać charakter masowy i zwierać się w ścisłe formy organizacyjne. W historji tego ruchu uderza zwłaszcza fakt, że inicjatywa tych nowych form walki o byt wychodzi z samych mas i przez masy same jest realizowana. Ciężki aparat biurokracji chrześcijańskiej i socjaldemokratycznych związków zawodowych okazał się zasklepiony w rutynie i bezradnie stanął wobec nowych zadań, wymagających natychmiastowego rozwiązania; dopiero w ostatnich czasach niektóre (głównie pod wpływem skrajnej lewicy pozostające) związki zajęły czynne stanowisko wobec ruchu i pośpieszyły z organizacyjnem i materjalnem poparciem dla akcji bezrobotnych.

W tych warunkach inicjatywa nowych form samopomocy musiała wyjść z samych mas — mamy tu do czynienia z ruchem żywiołowym o wyraźnem obliczu klasowem, który jednocześnie i niezależnie, pod naporem objektywnych warunków życia klasy robotniczej, przejawia się w różnych ośrodkach i różne formy przybiera. Przyszłość okaże, czy ruch ten stanie się na tyle potężny, by stać się ważkim czynnikiem życia niemieckiej klasy robotniczej. Oczekiwać od niego nowej ideologji, nowych form walki klasowej, ba — inicjatywy form przyszłego ustroju gospodarczego, jak to czynią niektórzy entuzjaści tego ruchu — niepodobna. Już wyżej zaznaczyliśmy przeważająco konsumpcyjny charakter tych kolektywów. Jeżeli pojawiają się kolektywy wytwórcze — to rolne, mogące mieć znaczenie tylko tymczasowe, jako środek pomocniczy, zastępczy w czasie kryzysu przemysłowego. Przemysłowy kolektyw wytwórczy jako typ gospodarczy, jako społeczna forma organizacji gospodarczej w okresie wielkokapitalistycznej produkcji maszynowej, to mżonka fantastyczna. Nie nowych form ustroju gospodarczego należy oczekiwać od falansterów nędzy, lecz zmian w psychice klasy robotniczej, w jej stosunku do życia indywidualnego i społecznego. Taran kryzysu rozbija indywidualne formy życia klasy robotniczej. Z pod gruzów żywiołowo dobywają się nowe formy, nierozerwalnie, organicznie zespalające życie osobiste robotnika z życiem zbiorowem proletarjatu.

Dr. M. Wajsman

ANKIETA „EPOKI"

O WSPÓŁCZESNYM KRYZYSIE DUCHOWYM

XI*) ODPOWIEDŹ PROF. LUDWIKA KRZYWICKIEGO

Dzisiejszy kryzys ducha, ów kryzys tak obficie uposażony w liczne niepokoje uczuć i myśli, bynajmniej nie jest zjawiskiem nowoczesnem. Datuje się od dawna. Już przed stu zgórą laty wybitny myśliciel francuski, Saint Simon, dowodził, że cywilizacja nasza wkracza w fazę długotrwałego okresu, jak się wyrażał, krytycznego, w przeciwstawieniu do okresów organicznych — okresu wyróżniającego się anarchją w każdej dziedzinie działalności ludzkiej, a więc zupełnem rozprzężeniem w dziedzinie produkcji dóbr materjalnych, rozstrzeleniem wysiłków w zakresie twórczości naukowej i artystycznej, a w dalszym ciągu, jako nieodzownem uzupełnieniem tych rozdźwięków, rozterką ducha.

Wraz z zapanowaniem zasady wolnej konkurencji rozpoczyna się nieokiełznana walka człowieka z człowiekiem o zarobek, o stanowisko, o imię. Zamęt w zakresie materjalnych warunków bytu społecznego zatacza coraz szersze kręgi, a dysonanse, występują jaskrawo, zwłaszcza w kryzysach przemysłowych, powtarzających się co lat 10 — 11 z żywiołową mocą. Te kryzysy są swego rodzaju objawieniem. Objawieniem wszystkich dysonansów, tkwiących w ustroju wolnej konkurencji. Jak rzeka nieujęta w groble podczas powodzi zatapia pola, niszczy dorobek ludzki i pozostawia po sobie zniszczenie, tak w odstępach stałych czasu tłumy zostają oddane na pastwę zwiększonej nędzy, i to oddane z powodu nadmiernej ilości produktów ręki ludzkiej, zmuszonych czekać lat parę na nabywcę. A dysonanse w zakresie materjalnych warunków bytu społecznego wkraczają w jaźń ludzką i wywołują ocknięcie się w niej instynktów dotychczas bezwładnych i nieujawnionych. Staje się zasadą, iż pomiędzy ocknięciem się w nas jakiegoś instynktu lub potrzeby, a możliwością ich

*) W n-rach 12, 13-ym i 14-ym „Epoki" zamieściliśmy odpowiedzi Andrzeja Struga, Juljusza Kaden-Bandrowskiego, prof. Tadeusza Kotarbińskiego, prof. Tadeusza Zielińskiego, Juljana Tuwima, prof. Wacława Makowskiego, Emila Breitera, Ireny Krzywickiej, prof. Władysława Tatarkiewicza i prof. Henryka Rygiera.

zaspokojenia ciągnie się długo pasmo czasu. Niemożliwość zaspokojenia tych łaknień w ciągu lat wielu, przynajmniej zaspokojenia w sposób godziwy, stwarza w jaźni ludzkiej całe piekło ścierających się z sobą uczuć, namiętności i pragnień. To piekło wewnętrzne znajduje dla siebie wyraz odpowiedni w sferze prądów i czynów natury publicznej. W ciągu całego tego stulecia, które przedziela nas od czasów, kiedy Saint-Simon odsłaniać zaczął tajemnice naszego ustroju społecznego, te dysonanse w warunkach bytu materjalnego, te rozsterki w dziedzinie ducha, potężniały z każdem pokoleniem. Niepokój duchu stawał się coraz rozleglejszy, coraz ostrzejszy. Pasmo rozwoju naszego w ciągu tego stulecia ciągnie się ogniwami wciąż tego samego charakteru, ale coraz bardziej napiętemi w swoich rozdźwiękach, coraz silniej uposażonemi w niepokoje ducha.

Przed laty 30 poddałem rozbiorowi drobiazgowemu tę rozterkę wewnętrzną u schyłku wieku XIX, ów niepokój ducha, w pracy swojej „W o t c h ł a n i". Dzisiaj te wszystkie objawy rozluźnienia i rozdźwięku wystąpiły z niezmierną siłą.

Wielka wojna jest jako ferment, który wciąż jeszcze działa: potyczki orężne ustały, ale wojna trwa dalej. Jedynie ogarnęła inne sfery życia. Orężne rozprawy skończyły się upadkiem potęg, które stały na straży danych ustrojów policyjnych. Ale pokonani niebawem poczęli marzyć o wskrzeszeniu dawnych czasów. Znaleźli oddźwięk głośny: układ nowy stosunków utrącił przywileje różnych narodowości, a oswobodził inne i pozostawił wśród tamtych żądzę odwetu, a właściwie chęć przywrócenia stosunków, kiedy ze swego uprzywilejowania ciągnęły sowite korzyści. Wojna gospodarcza, która jest rysem zasadniczym ostatniego dziesiątka lat, zamknęła możliwość nietylko normalnego obiegu produktów, ale uniemożliwiła odpływ rzeszom ludzkim z miejsc gdzie brakło pracy, do innych krajów, gdzie mogłyby znaleźć zarobek. Jak gdyby stłoczono gromadę ludzką w ciasnej izdebce bez powietrza i światła! Posuwająca się w trybie napiętym racjonalizacja pracy tym stłoczonym rzeszom z dniem każdym odbiera dawne okazje zarobku, a industrjalizm nowoczesny dokłada wszystkich starań, ażeby cofnąć im te ustępstwa, które musiał uczynić w okresie „wiosny demokratycznej". Aż w końcu nadchodzi ów kryzys, powtarzający się od r. 1815 stale co lat kilka. Bankrutują przemysłowcy, bez zarobku są rzesze inteligencji pracującej i robotników fizycznych. Ludzie są głodni, niepewni jutra, zachwiani w swojej ufności w stateczność stosunków społecznych, i to wszystko wśród „klęski urodzajów" i nadmiaru produktów. A mówiąc o głodzie, mam na myśli nietylko proste niedojadanie: głód dotyczy każdej strony życia ludzkiego — ludzie są głodni od braku spokojnej wiary w dzień jutrzejszy, są spragnienie jakiejś trwałości warunków swego życia, przestali doświadczać przyjaźni ludzkiej, której przecież łakną! Niezadowolenie ogarnia całą jaźń ludzką i rodzi z siebie najrozmaitszego rodzaju protesty, zawiści, okrzyki, obłędy. Jeszcze raz powtarzam, w jaźni ludzkiej wre piekło niezaspokojonych łaknień, odbywa się starcie różnych instynktów, dręczy ją głód wszelkiego rodzaju. To piekło wewnętrzne przeobraża się w życiu społecznem w rozterkę najróżnorodniejszą, rodzi z siebie pełne niepokoju dreszcze. A głód instynktów tem silniej doskwiera w obliczu istniejącej obfitości dóbr, zarówno dóbr materjalnych, jak i dóbr ducha, oraz powszechnego poczucia, że ludzie nietylko mają prawo być sytymi, ale przy rozumniejszem ukształtowaniu stosunków mogliby być nimi. A używając wyrazu „syty", mam na myśli nietylko sytość ciała, ale także chodzi mi o sytość ducha, t. j. wdrożenie ducha ludzkiego w tory radosnej twórczości u jednych, rozkoszowania się dziełami tej twórczości u innych.

Nie wdaję się w drobiazgowszy rozbiór ani tego podłoża, z którego wyrasta ów niepokój trapiący dzisiaj społeczeństwo europejskie, ani nie zapuszczam się w śledzenie tak różnorodnych wątków tego niepokoju. Tutaj chodziło mi przedewszystkiem o zaznaczenie zasadniczych punktów wyjścia, o podkreślenie, że piekło w jaźni naszej jest odbiciem się w naszem życiu wewnętrznem dysonansów w warunkach materjalnych bytu społecznego. A na dnie tego piekła tkwi głód niezaspokojonych uczuć ludzkich — łaknienie jakiejś głębszej miłości, tęsknota za jakąś atmosferą serdeczności społecznej, pragnienie ufnego spoglądania w dzień jutrzejszy, a przedewszystkiem tego, ażeby nerwy nie były wciąż targane troską o zarobek, ani nieustanną potrzebą znajdowania się w pogotowiu obronnem, wobec możliwości i niespodzianek, których nie szczędzi ustrój oparty na prywatnej własności środków produkcji.

W dodatku na chwili obecnej zaciążyło nowe przekleństwo. Przed wojną gromady ludzkie żyły wpatrzone w możliwość ziszczenia się złotych snów o innej przyszłości społecznej, niż otaczająca je ciężka rzeczywistość. Te marzenia o przyszłych innych lepszych dniach istnienia łagodziły głód ducha, a z niepokojów ukuwały niekiedy oręż walki. Te sny złote przyćmiły się dzisiaj wśród oparów zdziczenia, które unoszą się wciąż z pobojowisk wielkiej wojny. Są tacy, którzy po dawnemu marzą o braterstwie ludów, o poważaniu godności ludzkiej, o usunięciu nędzy. Dzisiaj te hasła są dławione z brutalną zaciekłością. Ciężka to chwila, ale nie wiekuista. Bo któż zdoła potok wstrzymać w biegu!

XII. ODPOWIEDŹ ZOFJI NAŁKOWSKIEJ

Trudno jest w formie ankiety wypowiadać się na temat tak rozległy.

Kryzys dzisiejszy wydaje mi się tylko ujawnieniem i unaocznieniem stanu rzeczy, istniejącego daleko dawniej. Zakołysanie się i przesunięcie wierzchnich warstw rzeczywistości odsłoniło przed nami ten spód życia, na którym wyrasta i którym karmi się nasza kultura. To ujawnienie skompromitowało cały szereg różnych najwyższych racyj, któremi samą siebie straszyła ludzkość i w imię których wymogła na sobie najwyższe ofiary.

Dzień dzisiejszy ma tę dobrą stronę, że nikomu nie pozostawia złudzeń co do otaczającej nas rzeczywistości. Rzeczywistość ta w sposób z każdą chwilą bardziej przekonywujący domaga się swego zniszczenia.

XIII. ODPOWIEDŹ HENRYKA LUKRECA

Panorama świata ulega wstrząsom, wywołanym przez wielką wojnę, w olbrzymiej skali dziejowej. Walą się w gruzy nie tylko formy polityczne państw współczesnych, ale naruszone zostały same podstawy istniejącego ustroju gospodarczego. Kapitalizm znalazł się w położeniu organizmu, który uległ uszkodzeniu stosu pacieżowego i który żyje jeszcze dzięki wielkiemu zapasowi sił przyrodzonych, ale bez na-

dziei odzyskania swej poprzedniej sprawności fizjologicznej! Porażony ustrój trwa jeszcze, siły zaś nowego ustroju gospodarczego i społecznego nie przybrały jeszcze form panujących, — stąd płynie głęboki proces przesilenia we wszystkich dziedzinach życia ludzkiego. Jest to jak czas przejściowy w przyrodzie, kiedy organiczne resztki nie uległy jeszcze zupełnej zgniliźnie, nowe zaś kłosy jeszcze nie zakwitły.

Sposoby walki o byt zaogniły się tak samo w życiu osobników, jak całych warstw i narodów, szukających oparcia o zbrojne państwa, stojące na straży ochronnej zagrożonej wytwórczości i spożycia. — Stalowe ramię nowożytnego państwa broni kości bytu, po którą sięga inny zbrojny egoizm narodowy.

Zaostrzona walka o byt rozdziera wnętrza społeczeństw, ale i łączy je jednocześnie w obóz warowny do obrony zewnętrznej. Jednakże żywiołem duchowej kultury ludzkiej jest przestrzeń nieograniczona, nieznająca ani zaściankowości, ani sztucznych granic, ani opancerzonych egoizmów, istotną bowiem treścią ducha ludzkiego są szerokie porywy altruistyczne, mające jako przyrodzone przedmioty swoje dobro i dostojeństwo człowieka. Stąd też płyną usiłowania myślących i czujących odłamów różnych narodów do wzajemnej współpracy i wymiany twórczości duchowej ponad głowami zbrojnych państw i ponad atmosferą wzajemnego szczucia i poniewierania wartości kulturalnych w sanktuarjach różnych narodów. Ani sztuki plastyczne, ani muzyka, ani literatura i nauka, ani cała kultura estetyczna nie daje się mimo wstrząsów i przełomów gospodarczych nagiąć do ceduły giełdowej, ustaw celnych i bilansu handlowego.

Życie duchowe świata broni się zwycięsko od zaszpuntowania w beczce zakwaszonej kapusty i od użycia do baraniej pieczeni kapitalizmu. Pewien spadek frekwencji w świątyniach kultury estetycznej jest wynikiem zubożenia, a nawet pauperyzacji szerokich mas inteligencji, zmuszonej do ograniczania swoich potrzeb duchowych i kulturalnych. Nie zmienia to jednak faktu, że zasób tych potrzeb rośnie, pobudzany przez rozkwit cywilizacji materjalnej. Przesilenie ustroju, pozbawiające z jednej strony pracy miljony ludzi zdrowych, pobudza ich z drugiej strony do kształcenia umysłu i ducha. Piśmiennictwo np. angielskie pozyskało parę miljonów nowych zgoła czytelników ze świata fizycznej i umysłowej pracy, którzy się garną do uczelni i bibljotek. Ruch wydawniczy w Anglji osiągnął wielkie rozmiary i rekordowe nakłady. To samo dzieje się w Niemczech i Francji.

Życie na naszym gruncie zdradza te same objawy. Bibljoteki i wypożyczalnie książek, zwłaszcza na prowincji, są w ciągłem oblężeniu. Te napoczęte dopiero przez kulturę duchową nowe kadry czytelników o niewyrobionych jeszcze potrzebach umysłowych i niewykształconym smaku estetycznym — wchłaniają lekturę, która narazie odpowiada stopniom ich intelektualnego rozwoju. Mówiąc nawiasem, tem się może tłomaczy zjawisko, ujawnione przez różne statystyki, że twórczość drugo i trzeciorzędna cieszy się największą popularnością. Ale prądy samokształcenia są dziś silniejsze, niż dawniej, zwłaszcza nauczycielstwo jest najliczniejszym odbiorcą dzieł poważnych i gruntownych w zakresie swych specjalności.

Nowa inteligencja garnie się do piękna i światła w przeciwstawieniu do inteligencji starego autoramentu i do plutokracji, która w romantycznym okresie kapitalizmu odgrywała rolę mecenasa kultury estetycznej. Wydaje mi się, że zagadnienie kryzysu kultury duchowej należy mocno zwęzić i sprowadzić jedynie do kryzysu niektórych form i smaku estetycznego kapitalizmu, oraz kryzysu myślenia industrjalnego, które wyciska jeszcze swoje piętno na życiu wewnętrznem epoki bieżącej. Świat umysłowej i duchowej pracy, wyzwalając się stopniowo z hypnozy złotego cielca — wyzwoli ostatecznie te żywotne i potencjalne siły, które są właściwą treścią i jednocześnie skarbnicą kultury duchowej.

Henryk Lukrec

ODGŁOSY

POŻERACZE DUSZ

Istnieje śród dzikich plemion wyspiarzy Viti wierzenie, że na dusze zmarłych, pragnących spoczynku czyhają duchy Sanu, które chwytają zmęczone dusze, dążące do Państwa Duchów i żarłocznie je pożerają.

Nasze zmęczone dusze pożerają ci, którzy stwarzają sensacje i z sensacyj tych żyją.

Zwracano się do mnie, abym powiedziała „coś" o sprawie Gorgonowej w prasie, lub na posiedzeniu publicznem. Odmawiałam, gdyż nie mogę zabierać głosu w sprawie, którą znam jedynie ze sprawozdań dziennikarskich, a tembardziej przed wyrokiem — obecnie też nie mam zamiaru mówić o sprawie, lecz o tych, którzy są odpowiedzialni za to, czem się stał proces obecnie. Powtarzam, czem się stał obecnie— dzięki nieumiejętnemu prowadzeniu z jednej strony, a umiejętnemu jego rozdmuchiwaniu — z drugiej.

Bo czemże była sprawa Gorgonowej z początku? Znaleziono trupa młodej dziewczyny, były poszlaki, dowodów brak, padło podejrzenie na jej nielegalną macochę. Nad oskarżoną zawisła groza szubienicy.

W sprawie tej najstraszniejszem jest to, że istnieje wogóle kara śmierci i że wyrok zawisł nad kobietą ciężarną. — Ale w takim razie trzeba podnosić głos przeciw karze śmierci— a tego przecież nie słychać.

Pozatem, ileż podobnie strasznych i zagadkowych przestępstw przewija się przez sądy w ciągu roku, ileż zagadkowych zabójstw, defloracji, dokonanych nawet przez rodzonych ojców, ile zabójstw dzieci — nie cudzych, lecz własnych, a zagadnienia, związane z temi zabójstwami — o ileż bardziej palące! Weźmy choćby pospolite zabójstwo dziecka nieślubnego — dziecka porzuconej matki, której człowiek kochany się wyparł...

Są sprawy straszniejsze i bardziej zagadkowe, dlaczegóż ta właśnie sprawa zawładnęła naszemi zmęczonemi nerwami?

Dlaczego sala sądowa — miejsce, gdzie się odbywać powinno najwyższe misterjum wymiaru sprawiedliwości, stała się nieomal salą teatralną?

Wywlekanie tajemnic alkowy skrzywdziło wszystkich, a nie służyło wyłącznie celowi: wyświetleniu winy, znalezieniu winowajcy.

Cóż miało wspólnego z wyjaśnieniem winy ujawnienie, że Gorgonowa brała od kogoś pieniądze, że była niedobra dla dzieci swoich i cudzych, że dawała im słynne „placki kartoflane", a sobie sprawiała futra, na które, jako niepłatna gospodyni i wychowawczyni — zapracowała. Mogła Gorgonowa być naj-

gorszą macochą, najbardziej rozpustną kobietą, a jednak nie być morderczynią.

Pocóż więc ta wiwisekcja, te drażliwe pytania, zadawane Gorgonowej i świadkom — przecie nawet najbardziej rozwiązłe życie jej nie usprawiedliwiałoby morderstwa.

Sytuacja Gorgonowej w obcej i wrogiej jej rodzinie, stosunek do niej Zaremby i dzieci, wreszcie jej przeszłość może obchodzić Sąd tylko o tyle, o ile bierze się te okoliczności, jako łagodzące, wpływające na wymiar kary — o ile jest winną.

Ale to już wszystko i na wyjaśnieniu okoliczności łagodzących powinien się ograniczyć przewód sądowy, a nie na wytwarzaniu atmosfery widowiska.

Reżyserja i sposób ujęcia sprawy to powód, dla którego z poważnej sprawy sądowej wyziera niezdrowa sensacja i rozlewa się fala krzywdy.

Wywlekanie pikantnych szczegółów skrzywdziło wszystkich: i dusze maluczkich, pożerane przez sensację, i Gorgonową, o której wiemy więcej, niż w rzeczywistości przeżyła i Zarembę, o którym pisały gazety sensacyjne, że „zabił rodzonego brata, okradł rodzinę, sponiewierał matkę i żył w rozpuście", zapominając, że Zaremba występuje w tym procesie nie jako oskarżony, lecz jako ojciec zabitej córki.

Gdybyż przynajmniej krzywda, która się dzieje dzięki takiemu ujęciu sprawy — prowadziła do celu: do wyświetlenia winy.

Twierdzę kategorycznie, że nie. A takie ujęcie sprawy jest sprzeczne z zasadniczemi artykułami Kodeksu postępowania Karnego. Tak samo, jak szkalowanie świadków jest występkiem, przewidzianym przez Kodeks Karny.

Podstawę Orzeczenia sądowego stanowi „całokształt okoliczności, ujawnionych w toku procesu sądowego" (art. 358 K. K.) „Narady i głosowania odbywają się co do winy i kary" (art. 359). Sąd rozważa tylko winę, a rozważania opiera na faktach, które wyłaniają się z przewodu sądowego. Żadne wywody postronne, żadne śledztwa domorosłych detektywów, żadne najbardziej płomienne rezolucje czy artykuły nie powinny być brane pod uwagę.

Tak ogranicza się materjał sądowy formalnie. W ramach tych należy wysunąć na pierwszy plan wszystko to, co dowodzi winy, względnie niewinności oskarżonego. Sąd nie wydaje wyroków potępiających sprawcę za całe jego życie niemoralne, ani nie wkłada na jego skroń wieńców laurowych za moralność. Rozważanie zaś szczegółów życia prywatnego, nie mających związku z domniemanym czynem przestępczym — nie powinno mieć miejsca.

Sprawozdawcy zaś w pismach nie powinni „pomawiać innej osoby o postępowanie lub właściwości, które mogą ją poniżyć w opinji publicznej", a przedewszystkiem „dotykać okoliczności życia prywatnego, lub rodzinnego", nawet gdyby zarzuty te były prawdziwe (art. 255 K. K.).

Wywlekając okoliczności ściśle osobiste, dotyczące oskarżonej i świadków — komentując je w prasie, czyni się tym ludziom krzywdę niczem niezatartą, boć nawet wyrok sądowy skazujący, wydany po kilku miesiącach na oszczerców, doraźnego wrażenia nie zmaże.

Tak się robi gwoli nasyceniu ciekawości i rozmiłowaniu się w plotkach. Czytając sprawozdania z tej sprawy, ma się uczucie zakłopotania — tak, jakbyśmy czytali cudze listy, lub podsłuchiwali pode drzwiami.

Wyrok sądu przysięgłych powinien być wynikiem tylko rozprawy sądowej, przysięgli w zasadzie powinni być izolowani od wpływów zewnętrznych. W Rosji przysięgli podczas trwania procesu nie mieli prawa wychodzić z gmachu Sądu, komunikować się z rodziną, czytać gazet — zarządzenie to gwarantowało czystość atmosfery sądowej, niezakłócanej, w zasadzie, przez inne osoby wewnątrz sali.

Kodeks Postępowania Karnego ustala zakaz następujący: „Przez cały czas trwania narady przysięgli nie mają prawa opuszczać izby narad, ani porozumiewać się z osobami postronnemi" (Art. 411).

Czy zakaz ten nie brzmi, jak ironja, czyż wykonanie tego zakazu w czemkolwiek zmieni opinję ławy przysięgłych — tworzącą się na podstawie prasy i na naradach w kawiarniach?

Możnaby w porę zapobiec wpływom sali sądowej na publiczność i publiczności na salę sądową przez zastosowanie art. 316 K. P. K.: „Sąd zarządza prowadzenie przy drzwiach zamkniętych całej rozprawy, lub jej części, jeżeli jawność postępowania mogłaby obrażać dobre obyczaje, spowodować zaburzenia spokoju publicznego". Szkoda wielka, że w sprawie Gorgonowej artykuły 316 K. P. K. nie stosowano w szerokiej mierze.

Adw. Helena Wiewiórska

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

„KSIĘGA Z SAN MICHELE"

Oto książka niezwykła. *) Napisał ją mądry i szlachetny lekarz. Człowiek, który rozumie człowieka i wzrokiem miłującym patrzy na jego cierpienia i radości.

Któż może zdobyć więcej wiedzy o kulisach życia, niż lekarz, jeżeli, oczywiście, nie jest rzemieślnikiem, nazimno traktującym swój zawód? Kto bliżej styka się z tragedjami ludzi? Kto ma więcej możności odczucia ich fizycznej i psychicznej niedoli?

Większość ludzi jest fizycznie lub psychicznie chora. Ich życie rysuje się tak, jak owa „Czarodziejska góra" Tomasza Manna — góra symboliczna, na której w większem tylko napięciu i zgęszczeniu dzieje się to, co wszędzie na „nizinach". Wiedza o życiu — bez tej nauki, którą o człowieku zdobywa lekarz, jest niepełna, można rzec nawet — uboga. To, co widzi lekarz, dobrze patrzący, bogaci nasz sąd o sprawach wszechludzkich.

Nie jest to może przypadek, że dwie najgłośniejsze dziś książki literackie napisali lekarze: we Francji— Céline („Voyage au bout de la nuit"), w Szwecji — Munthe. Dwie książki — bardzo różniące się treścią, formą, charakterem, ale podobne w sile współczucia, pokrewne w ludzkim, najcieplejszym i bezinteresownym stosunku lekarza do pacjenta. Céline napisać powieść, osnutą na autobiografji, Munthe dał tylko fakty i tych faktów komentarze. W auto-

*) *Axel Munthe:* „Księga z San Michele". Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa 1933.

biografji Céline'a, ubarwionej wyobraźnią i wydarzeniami zmyślowemi, znajdujemy ten sam w istocie swojej patos etyczny i humanitarny, co u Munthe, który spisuje swoje wspomnienia i rzeczywiste przeżycia, w kilku tylko miejscach bawi się w „literaturę" — nie przez zmyślenia, ale przez różne liryczne i symboliczne dodatki. I te są najsłabsze. To właśnie zastanawia: najmocniejsze wrażenia *artystyczne* wywierają w książce Munthe ścisłe, realistyczne opisy rzeczywistych zdarzeń, przez co Munthe pouczająco dokumentuje tę prawdę, że samo życie, sama rzeczywistość, uczciwie odtworzona, ma swoje walory „literackie", swoją akcję dramatyczną i swoje najdoskonalsze „pointy".

Munthe ma wielki talent obserwacji — tak samo, kiedy patrzy na ludzi, jak kiedy przygląda się zwierzętom. Wszędzie dostrzega gest tragiczny i gest komiczny życia. Żywe poczucie komizmu zabezpiecza go przeciw tragicznej egzaltacji, którą tak często wybucha Cèline. Munthe ma cudowny humor, który łączy szlachetnie z cichym nurtem melancholji i sceptycyzmu.

Jest wspaniały w swojej żywiołowej uczciwości, jako człowiek i jako lekarz. To też z doskonałą pasją demaskuje różnych lekarzy—szarlatanów, nie przestrzegając tej zasady, o której wspomina ktoś w sztuce Bernarda Shaw „Lekarz na rozdrożu": „Każdy zawód jest sprzysiężeniem przeciw nieuświadomionym". Munthe zdradza to sprzysiężenie, potępiając rozmaite łajdactwa lekarzy, obrażających godność i wielkość swego zawodu. Ale i tę wielkość potrafi Munthe jaknajpiękniej ukazać, kiedy z entuzjazmem pisze o znakomitych lekarzach, traktujących swój zawód w sposób najbardziej wzniosły.

Szczególnie wzruszające są te stronice książki, gdzie Munthe pisze o zwierzętach, które kocha, które leczył i z któremi dużo, dużo... rozmawiał. Rozmawiał, jak z ludźmi. I sporo ciekawych rzeczy dowiedział się od zwierząt.

Możnaby nazwać tę książkę — sensacyjną. Tyle tu niezwykłych wydarzeń, tyle nadzwyczajnych sytuacyj życiowych, taki nawał wspomnień interesujących. Snują się w tym kalejdoskopie — tragedje, melodramaty, komedje, groteski, rzeczy piękne i rzeczy okropne — wszystko, co ludzkie i co nieludzkie...

Mądra, szlachetna, pouczająca książka.

J. W.

„Epoka" daje lekturę wszechstronną i poważną, pragnąc zaspokoić głębsze potrzeby intelektualne i duchowe czytelnika.

O POSTĘPIE W RELIGJI

I.

Wiara w bezwzględny postęp wszystkich dziedzin życia ludzkiego tak silnie panowała nad myślą XIX wieku, a szczególnie w pierwszej jego połowie, iż każda nowa doktryna lub hipoteza wtedy dopiero zdobywała miano naukowej, kiedy ujmowała daną grupę zjawisk czy pojęć w kadry wyraźnie określonych etapów ewolucji, kiedy wykreślała drogę ich rozwoju i wykazywała na czem polega istota ich postępu. Rzeczą wielkiej wagi dla ówczesnych historyków i socjologów było zastosowanie teorji ewolucji do zjawisk religijnych, aby tem samym ustanowić i trwały byt zapewnić nowej nauce, nauce historji religji, jako odrębnej gałęzi wiedzy. Zanim poczęto się zastanawiać nad pojęciem postępu w religji, musiano przedewszystkiem wskazać tło, na jakim ów postęp odbywać się może, t. j. określić zasadnicze cechy ewolucji wierzeń i praktyk religijnych. Z tej też racji, przed zbadaniem pojęcia postępu w religji, zastanowić się winniśmy nad samą teorją ewolucji religijnych wierzeń, a mianowicie, odpowiedzieć na pytania: czem jest ta teorja i jakie są jej założenia?

Samo przystąpienie do naukowego badania ewolucji religji, wymagało zajęcia stanowiska biegunowo-przeciwnego, niż to, na jakim stała i stoi teologja, dla której wszelkie kwestje powstania i rozwoju pojęć religijnych są zgóry załatwione, a mianowicie: religja daną była ludzkości drogą objawień boskich, nie może więc być mowy o żadnej ewolucji religji i etapach jej rozwoju, lecz jedynie, i co najwyżej stwierdzić można postęp lub degradację w poznawaniu wiecznych, niezmiennych i absolutnych prawd, których systemat stanowi religję: a skoro mowy być nie może o ewolucji religji, to tem samem nie daje się ona ująć w żadną, tak lub inaczej rozumianą, formułę postępu.

Dwa założenia były i są podstawą całkiem odmiennego stanowiska wyznawców naukowej metody badania zjawisk religijnych: po pierwsze, ludzkość nie posiada religji, lecz religje i powtóre, różne systematy wierzeń religijnych dają się podzielić na takie kategorje, na takie formy historyczne, z których każda stanowi odbicie umysłowego i społecznego życia danej epoki.

Doniosłość pierwszego założenia, które jest tylko ujęciem tak oczywistej prawdy, stanie się widoczną, jeżeli uprzytomnimy sobie do jakiego stopnia teologja chrześcijańska identyfikowała pojęcie religji z pojęciem chrystjanizmu, a w najlepszym razie — z pojęciem monoteizmu. Zobaczymy też dlaczego identyfikowanie tych pojęć wykluczało z natury rzeczy teorję ewolucji i wszelkie formuły postępu religji. Twierdzenie, że narody i plemiona nie wyznające wiary w jednego Boga, nie posiadały i nie posiadają religji, było konsekwencją poglądu na powstanie religji drogą objawienia: skoro prawdy religijne objawił ludzkości Bóg, a w prawdach tych dał siebie poznać i odczuć, przeto narody nie wyznające wiary w Boga, nie mają religji, nie poznały jeszcze owych prawd; wierzenia ludów pierwotnych i narodów starożytnych nie są wierzeniami religijnymi, są to tylko płody naiwnej wyobraźni nic wspólnego z religją nie mające.

Tak rzecz biorąc, t. j. odmawiając miana religijnych tym narodom i ludom, które nie posiadały idei jedynego Boga, usuwano wszelką teorję ewolucji,

która oparcie swoje ma w badaniu owych pierwotnych i starożytnych wierzeń, uważając je właśnie za niższe formy religji, zawierające w zarodku wszystkie te pojęcia, jakie stanowią później podstawę monoteizmu, z jakich w ciągu tysiącoleci i w miarę rozwoju życia umysłowego i społecznego wyłania się ideja jedynego Boga i odpowiadające tej idei nowe formy organizacji religji. Z chwilą, kiedy uznamy za religijne nietylko te narody, które wyznają wiarę w Boga i nietylko te, które wierzą w wielu bogów, ale i wszystkie ludy i plemiona nie posiadające ani idei boga ani idei bogów, lecz wyznające wiarę w duchy w jej przeróżnych formach, z tą chwilą, powiadam, możemy już zastosować całkowicie teorję ewolucji do zjawisk religijnych, nakreślając obraz ich rozwoju, począwszy od znanych nam najniższych form religji do najwyższych manifestacji religijnego uczucia, i — powtóre, poszukując źródeł tych zjawisk w coraz odleglejszej przeszłości .

A więc teorja ewolucji religji ma za bezwzględny warunek swej racji bytu jaknajszersze, i przez to jedynie słuszne, pojęcie religji.

Drugiem założeniem historycznej metody badania jest jak już wspominałem, to, że religja stanowi odbicie psychicznego i społecznego życia danej epoki i zmienia się odpowiednio do zmian zachodzących w tem życiu. Czy i do jakiego stopnia założenie to odpowiada rzeczywistości, t. j. czy religja zmienia się równolegle czy też niewspółrzędnie ze zmianami form życia społecznego, zobaczymy niżej. W każdym razie stwierdzić można bez zastrzeżeń zależność wierzeń religijnych od zajęć, gospodarki i obyczajów danego plemienia czy narodu: plemiona koczujące miały inne wyobrażenia o bóstwach lub duchach, niż naród rolniczy, a naród zajmujący się myśliwstwem miał inne potrzeby religijne, niż naród pasterski. Grenlandczyk marzył o raju, w którym będzie pełno ryb, gdyż główną jego pracą w życiu doczesnym było rybołóstwo; tak samo starożytny giermanin wyobrażał sobie Walhallę, jako miejsce rycerskich potyczek, gdyż żył w ciągłem pogotowiu do walki. To samo zjawisko, zwane socjomorfizmem, widzimy we wszystkich religjach.

Fakt zależności wierzeń religijnych od sposobu życia narodu, który je wyznaje, przemawiał również za możnością i koniecznością zastosowania teorji ewolucji do badań nad religją, gdyż jeżeli religja stanowi odbicie warunków życia społecznego, to wraz ze zmianą tych warunków, odbywać się też musi ewolucja zjawisk religijnych.

**
*

Zastosowanie teorji ewolucji do zjawisk religijnych otworzyło w pierwszej połowie XIX wieku dwa pola badań; pierwsze — to dociekania nad istotą religji, nad tymi jej pierwiastkami, które przyjąć można za podstawę wszelkiej religji, bez względu na to jakie są jej formy historyczne. Dociekania te należą wyłącznie do filozofi religji; tło tej nauki przygotowali Kant i Schleiermacher, a za jej ojca uważać należy Hegla, który pierwszy zakreślił pole badań filozofji religji, poruszył zagadnienia w zakres jej wchodzące, oraz podał pierwszą filozoficzną klasyfikację systematów religijnych.

Drugiem polem badania były i są wierzenia religijne w ich procesie rozwojowym; to zkolei pole badań należy wyłącznie do nauki historji religji. Pierwszym jej krokiem było wykazanie głównych etapów ewolucji religijnego życia ludzkości, co właśnie najbardziej nas w tej chwili interesuje, gdyż, jak zobaczymy niżej, od sposobu pojmowania tych okresów ewolucji zależy też nasze pojęcie postępu w religji.

Pierwszą formułę ewolucji religji dał August Comte, dzieląc religijne życie całej ludzkości na trzy etapy, a mianowicie: fetyszyzm, politeizm i monoteizm. Lecz podział ten okazał się wkrótce niewystarczający i mylny. Przedewszystkiem ,pojęcie fetyszyzmu ulegało dwukrotnej zmianie (Spencer, Reville), następnie zaś, zastępowano je pojęciem pierwotnego animizmu (Tiele, Tylor i inni). Formuła Comte'a nie zawiera w sobie tak wielkich form religji, jak henoteizm ludów starożytnych, t. j. współrzędność wiary w najsilniejszego, najwyższego Boga z wiarą w wielu bogów; jak monolatrja starożytnych Hebrajczyków, t. j. wiara w jedynego swojego Boga narodowego obok uznawania istnienia innych bogów (przykazanie: „nie będziesz miał innych bogów prócz mnie" oznaczało pierwotnie, że inni bogowie istnieją, lecz czcić należy tylko swojego Jehowę). Dalej, formuła Comte'a pomija takie formy religji, jak buddyzm — nie posiadający ani idei Boga, ani wiary w wielu bogów. Pozatem, w wykreśleniu tych trzech wyraźnie jakoby od siebie odgraniczonych etapów ewolucji religji, Comte pominął jakgdyby powszechne prawo (z którego skądinąd zdawał sobie dokładnie sprawę) polegające na tem, że wszystkie niemal religje zawierają w każdym okresie swego rozwoju pierwiastki wszystkich poprzedzających ten okres wierzeń i obrządków. Tak np. współczesny chrystjanizm zawiera w sobie pierwiastki pierwotnego fetyszyzmu (cześć przedmiotów świętych, figur, obrazów i t. p.) i politeizmu (ubóstwianie licznych świętych i modły od nich zwrócone).

W miarę pogłębiania analizy wierzeń religijnych wielkość roli przeżytków stawała się coraz bardziej widoczną; większość obowiązków i praktyk religji współczesnych stanowi niezmienioną wcale, lub bardzo słabo — pozostałość z przed lat tysięcy. Poświęcenie np. figurki baranka w święto Wielkiej Nocy jest obrządkiem zamierzchłej starożytności i pochodzi niewątpliwie z epoki powszechnego totemizmu. Dzisiaj jeszcze wyrażona w kodeksie Manu pierwotna ideja pokuty dusz ludzkich w ciałach zwierząt, pozostała we współczesnej katolickiej modlitwie za dusze zmarłych: „Ne tradas bestis animas confidentium tuorum".

Niezliczona ilość wierzeń we wszystkich współczesnych religjach wskazuje na siłę niezmienności tych wierzeń w ciągu tysiącoleci. Cóż w takim razie oznacza ta niezmienność wobec postawionej tezy ewolucji religji? Ta pozorna sprzeczność doprowadziła nawet poważnych uczonych jeszcze w końcu zeszłego stulecia do postawienia tezy kompletnej stagnacji religji, co najwyżej zmieniającej się w formach zewnętrznych, w swym credo oficjalnem (Vernes).

Dlaczego tę sprzeczność nazywam tylko pozorną?

Należy przedewszystkiem pamiętać o tem, że przeżytek, t. j. każde wierzenie i pojęcie trwające w owej niezmienności, posiadające siłę oporu wobec odbywającego się rozwoju i postępu życia, — że przeżytek nie jest bynajmniej zjawiskiem właściwym jedynie religji. W mowie naszej, w naszych prawodaw-

stwach, urządzeniach społecznych, obyczajach, pojęciach moralnych, ileż znajduje się pozostałości z dawnego, zniesionego już stanu rzeczy! Cywilizacja każdej epoki obfituje w pojęcia, obyczaje i praktyki, które przedłużają żywot typu poprzednich cywilizacji. August Comte, mówiąc, że społeczeństwem rządzi więcej umarłych, niż żywych, miał na myśli tych wszystkich, którzy nie są ludźmi współczesnymi pod względem swych pojęć i obyczajów. Jesteśmy okrążeni żywymi typami minionych stuleci, wszędzie widzimy i typy ludzi pierwotnych i ciemnych barbarzyńców i dzieci średniowiecza.

Słowem, przeżytki religijne są jednym z przejawów ogólnego prawa. I tak samo — powiada słusznie Rejnach, — jak bełkotanie dzieci lub gwara ludowa nie może poddać w wątpliwość ewolucji języków; tak, jak przywiązanie ludu wiejskiego od różnych leków znachorskich nie powstrzymuje postępu medycyny, tak samo zupełnie, niezmienne wierzenia politeistyczne i praktyki fetyszystyczne zabobonnych mas nie mogą nas upoważnić do stwierdzenia zupełnej stagnacji świadomości religijnej. Od czasów wiary w legjony bogów, czczonych w rzymskich *indigamenta* — do powstania wiary w jedynego Boga; od stworzenia strasznego Kamosa moabskiego lub Jehowy pierwotnych hebrajczyków do wiary w Boga miłości i sprawiedliwości, czczonego i chwalonego dzisiaj w kościołach, synagogach i meczetach; od epoki krwawych ofiar z ludzi i zwierząt do dzisiejszych ceremonji religijnych, — ludzkość przebyła wielki krok ewolucji psychicznego życia. I chociaż w umysłach większej części każdego społeczeństwa pozostały wszystkie niemal wierzenia epok minionych, to jednak sam fakt istnienia, choćby tylko oficjalnie uznanej, wyższej formy religji zmusza nas do uznania ewolucji religijnych zjawisk.

Mówiąc o ewolucji jakiejkolwiek siły społecznej, nie należy tej ewolucji rozumieć jako szereg miarowo następujących po sobie okresów, z których każdy oddzielony jest od poprzedniego jakąś żelazną granicą; takich okresów w dziejach nie było.

Natomiast nowym nazywać winniśmy taki okres ewolucji, w którym dominującymi czynnikami życia stają się te, jakie w poprzednim okresie znajdowały się w stanie słabszym lub zarodkowym, co bynajmniej nie wyklucza powszechnego i stałego faktu, że we wszystkich dziedzinach życia tej nowej epoki grają wielką rolę pozostałości z epok minionych. W ten tylko sposób możemy pojmować ewolucję religji.

(dok. nast.) ***Józef Wasowski***

POWRÓT UPIORA

(Dokończenie)

W sąsiednim pokoju grała ciotka. Którąś ze „Scen dziecięcych" Szumana. Zdaje się, „Strachy", czy „Rycerza na drewnianym koniku". Stary, rozstrojony fortepian niepokoił mię jeszcze bardziej. Szczęście przynajmniej, że odbywało się to za ścianą. Przez tłumik. Bo inaczej chyba nie zdołałabym już opanować chorych nerwów i przyknęłabym na całe gardło, brutalnie i grubijańsko: „Chlać"! Dlaczego właśnie: „Chlać"? Magiczne słowo Stefana...

Wpółsennie myślałam, że mam lat dwadzieścia pięć i tak bardzo mało wzięłam z życia. Właśnie ten rok po ślubie był przecież jedną kroplą w oceanie szczęścia, przepływającego stale nad światem, a ja nie spieszyłam się dotąd, chociaż czas uchodził szybko i niepowrotnie. Poprostu zmarnowałam pięć lat w żałobnej cnocie, zgorzkniałam i może nawet zdziwaczałam trochę. Ale czyż mogło być inaczej, skoro, jak pan wie, przebywałam stale w towarzystwie ciotki i stetryczałego ojca. Zaczęłam sobie perswadować, że zamiast marzyć głupio o powrocie drogiego Odyssa, należało raczej śmiać się i warjować z furją młodości, póki jeszcze czas. Postanowiłam, że to się stanie, choćby nawet jutro. Żałowałam tylko, że jeszcze nie dziś! Ale skoro już odszedł Stefan...

Uspokajałam się zwolna. O, jakże bardzo kłamią ci wszyscy, co ważą się twierdzić, że zbliżanie się nieszczęścia sygnalizują naprzód sny i jaknajgorsze przeczucia... Ja tej nocy zasnęłam cicho i spokojnie.

Ale o północy ktoś zastukał gwałtownie w szybę. Zerwałam się z łóżka i słuchałam minutę, a może dwie, lub trzy, jak na dworze szumiały drzewa. Zdawało mi się, że pada deszcz, a potem, że to huczy tylko letnia wichura. Wkrótce jednak przekonałam się, że w okna tnie naprawdę strumień wody, a więc napewno pada. Jak z konewki. Słychać też głos, a raczej dwa. O przeciwnych barwach i natężeniach. Czyżby? Ale to śmieszne, więc kto? Walą we drzwi oszklonej werandy i znów w moje szyby. Aż poznałam ten głos i serce zastygło mi w piersiach.

— Marjo! — słyszę z za ściany.

Zrywam się, chcąc biec i to biec co tchu naprzeciw, lecz w jednej chwili kamienieję w bezruchu, krew gdzieś uciekła wszystka, więc dygoczę tylko i skomlę bezradnie, nie chcąc wprost wierzyć, aby to mógł być on, mój Odyss!... Wpółprzytomna klękam przed obrazem Ostrobramskiej i czekam, co będzie dalej.

Sądny dzień. Dom zatrząsł się od licznych głosów. Przeraźliwa wesołość. Brytan ujada, jak oszalały na łańcuchu, ciotka drze się w niebogłosy, skrzeczy kucharka Petronela i szurgają, człapią i dudnią pantofle i buty.

Wreszcie skrzypnęły drzwi. Przymknęłam oczy, drżąc, jak w przedśmiertelnej gorączce. A nademną głos, o Boże: Marjo, moja droga, najsłodsza Marjo!...

Skuliłam się w kłębek. Czekałam, wciąż czekałam, co stanie się za chwilę. Zaraz jednak poznałam go po pierwszych pocałunkach. Całował krótko, jakby od niechcenia. Zaledwie mlasnął mię w usta, mówiąc nieswoim, ochrypłym głosem: jak się masz, Maryś....

W blasku skąpego światła dojrzałam te same, co niegdyś oczy, lecz zato twarz była odrażająco brzydka, zarosła i kosmata. Straszna w swej odpychającej brzydocie. Prawie w niczem nie przypominała mi dawnego męża. Ogromne kudły niesforną, zmierzwioną falą spadały na wypukłe i czerwienią blizn pochlastane czoło, podobne zdala do wielkiej, zaognionej rany. Jego oddech syczał, łącząc swój świst ze szmerem deszczu. Trzęsły się na nim brudne, lepkie szmaty.

— Dlaczego patrzysz na mnie, jak na upiora? — zaczął — Wiem dobrze, żem doń bardzo podobny!...

— Zlituj się! — szepnęłam błagalnie i, przymknąwszy przerażone oczy, myślałam, co stanie się wówczas, kiedy już w żaden sposób nie zdołam zdusić w sobie wybuchu nagłego wstrętu, co owładnął mną na widok tej drogiej głowy, tak ukochanego niegdyś mężczyzny. Starałam się za wszelką cenę zapanować nad sobą, i powitać go tak, jak zasługiwał na to.

— Przerażają cię może moje kikuty, tak,— jestem naprawdę ordynarnym, odpychającym kaleką, chociaż niektórzy mówią, że bohaterem Pocieszam się jednak myślą, że są przecież w świecie daleko jeszcze gorsi odemnie. Mam zresztą bajeczną protezę!... O sztucznej szczęce już nie wspominam nawet, bo to drobnostka. Muszę ci zaznaczyć, Marjo, że i tak szalały za mną kobiety. Co, nie wierzysz?

Urwał, lecz w pokoju słyszało się wyraźnie syk płuc wsysających powietrze. Jerzy wykonał jakiś ruch, mogący oznaczać rezygnację, lub też wzgardę, coś bąknął pod nosem i runął ciężko na sofę.

Wtedy dopiero dostrzegłam u jego boku pusty, bezwładnie zwisający rękaw. A więc naprawdę był strasznym kaleką i bohaterem zarazem, powracającym z wielkiej wojny. — Jednocześnie ujrzałam przed sobą żółtą, piachem wysypaną arenę, po której mknął półnagi, doskonale zbudowany mężczyzna. Miał głowę Stefana. Z pod szybkich stóp chlustał w górę obłokiem kurzu, a napięte mięśnie grały w słońcu, jak żywiczne, splątane konary. Z ust jego tryskało słowo: „Chlać"!...

— Mogę zostać z tobą, Marjo? — otrzeźwił mię głos męża.

Poczułam żal i wstręt do samej siebie, że tak, a nie inaczej przyjęłam go po tylu latach bolesnej tęsknoty. Podeszłam doń cicho i rzekłam ze łzami w oczach: przebacz!...

Usłyszawszy brzmienie tego słowa, przeraziłam się niezmiernie, bo gotów jeszcze pomyśleć, że błagam go o rozgrzeszenie za niepopełnione winy, gdy tymczasem żyłam tylko tęsknotą za nim i nadzieją jego powrotu. Przyszło mi na myśl, że lepiej będzie, jeśli mu powiem wszystko z bezwzględną otwartością, by poznał istotną treść wszystkich moich nieprzespanych nocy, smak gorzkich snów i niewymownie długich godzin zwątpienia.

Ale on tymczasem najspokojniej spoczywał na sofie. Z jakąś tępą, zwierzęcą obojętnością podłożył sobie rękę pod głowę, burknął coś niewyraźnego przez brudny, zmierzwiony zarost i, przekręciwszy się twarzą do ściany, wkrótce zachrapał potężnie. Widać spoczynek był dla niego teraz wyrazem najwyższego szczęścia.

Próbowałam również usnąć, lecz jakże mogłam odegnać wszystkie obrazy, wywołane całą masą wstrząsających wrażeń, wśród których strach mieszał się ze wstrętem, wstręt z czysto ludzką litością, a wypopielała miłość z fizyczną odrazą do okrutnego kalectwa.

Oddech śpiącego raził mię coraz bardziej. Słysząc basowe, chrapliwe tony zdartych, steranych płuc, przypominałam sobie zaraz starego drwala Gaca, co zrąbawszy drzewo w kuchni, siadał zawsze na brzegu ogromnego kufra, stojącego przy progu i chciwie, z chlopotem żarł ciepłą strawę, ofiarowaną przez ciotkę. Jerzy oddychał tak samo.

Rozpaloną głowę wbijałam pod poduszkę, błagając kogoś niewidzialnego o szybki, ale to szybki ratunek, gdyż rozumiałam, że zbliża się godzina ostatecznych rozstrzygnięć. W pół przymkniętych oczach miałam jeszcze ciągle bronzowy, rozrosły i muskularny tors Stefana, płynącego przez płotki.

Nie pamiętam dobrze kiedy usnęłam. Zbudził mię nagle jego głos.

Światło. Ujrzałam nad sobą potwornie brzydką, straszną głowę, całą w kłębach rozrzuconych bezładnie włosów. Otwarte usta odsłaniały żółte, wyszczerzone zęby, z pomiędzy których wymykał się, jak żądło, śliną kapiący język. Z szeroko wywalonych oczu bluzgała bydlęca chuć. Chrapał:

— Marjo, najdroższa, skarbie, całuj mię mocno, jak niegdyś za pięknych, dobrych czasów, bom darł się przecież do ciebie przez śmierć. Z końca świata!...

Cofnęłam się z obrzydzeniem. Jerzy tulił się do mnie coraz mocniej i natarczywiej.

— Wybacz, ale nie dziś i, nie teraz jeszcze! — błagałam, odpychając go od siebie słabemi rękoma.

— Więc kiedy? — nalegał.

— Może jutro.

— Dość już czekałem, Marjo i dlatego więcej czekać nie mogę i nie chcę, rozumiesz: nie chcę!!!

— Zastanów się!

— Czyniłem to w ciągu wielu, ale to bardzo wielu miesięcy w bagnistych rowach i w szpitalach. Miałem czas na to!...

— Miej litość, Jerzy! — prosiłam błagalnie, patrząc w jego błyszczące, zgorączkowane oczy.

— A któż się nademną litował — zaśmiał się — gdym zdychał z głodu, chłodu, na tyfus, lub na czerwonkę?

Wstrzymałam oddech, bo ciało Jerzego buchało zdaleka smrodem rozkładającego się ścierwa. Czasem zdawało mi się, że w nozdrzach mam zaduch zaniedbanych, miejskich ścieków.

Coraz bardziej zdawałam sobie sprawę z grozy położenia. Każdej chwili mógł rzucić się na mnie z wściekłością rozjuszonego zwierzęcia i zmiąć, jak ścierkę.

Ostrożnie podniosłam się z łóżka, chcąc szybko ratować się ucieczką. Ale zanim jeszcze zdążyłam wykonać jakiś ruch, na piersi zwalił mi się, jak głaz olbrzymi.

Zaczęła się rozpaczliwa walka dwu obnażonych, spotniałych i dygocących ciał. Walka namiętności ze wstrętem.

W pewnej chwili udało mi się wyślizgnąć z pod kolan Jerzego i wówczas, nie wiedząc nawet kiedy, porwałam go kurczowo za gardło. Kąsał zębami, buchał płatami flegmy, wił się, rzucał i rzęził. Trzymałam. Potęgą nadludzkiego instynktu. Wbiłam palce w krtań drapieżnie i — trzymałam.

Wtem szarpnął się mocno i, straciwszy równowagę, wraz z pościelą runął na ziemię. Słyszałam, jak głowa trzasnęła o posadzkę z głuchym łoskotem rozbitego garnka. Wszystko ucichło.

Przypadłam do drzwi. Jednym skokiem znalazłam się w kuchni. Machinalnie zarzuciłam na ramiona dużą, wełnianą chustę Barbary. Jeszcze parę sekund, schody, ból w piersiach i trzepot rozdygotanych palców. Znalazłam się w kępach ogrodowej zieli. Skrzypnęła furta. O, jakże straszne waliło mi wówczas serce!

Wypadłam na ulicę. Pod nogami dzwonił złowrogo asfalt, wołając: to ona, ona, lub — stój, stój!!

Wciąż oglądałam się za siebie, gdyż zdawało mi się ciągle, że Jerzy jest obok i zaraz mnie dopadnie, by

zatłuc mnie tutaj w rynsztoku, pod szaremi bezlitosnemi murami kamienic.

Strach jeżył włosy. O, pan nie wie, co to jest strach, lecz mogę stwierdzić, że tego nie wyrażą nigdy żadne słowa.

Znalazłam się na moście. Ludzi plątało się niewiele. Był przecież wczesny, letni świt, więc miasto jeszcze spało.

Roztrzęsionemi rękoma objęłam żelazną balustradę mostu, i zawisłam nad wielką, szeroką, parującą rzeką. Pod sobą miałam przepaść, a w sobie: strach, coraz większy, krew mrożący, okrutny strach.

Wtedy, zdaje mi się myślałam tylko nad tem, jak uciec przed nim. A z dołu wołała mnie szumem fal spokojna, zaczerwieniona woda. Zdecydowałam się błyskawicznie, tembardziej, że most zadudniał nagle złowieszczo. Przecież to mógł być on!

Nazajutrz zbudziłam się na białem, szpitalnem łóżku. Ale po sprawie wytoczonej mi przez władze o zabójstwo męża, próbowałam raz jeszcze rozstać się ze światem, lecz znów przemocą uratowano mi życie. I oto jestem. Żyję i znów czuję i tęsknię, tylko jeszcze bardziej, niż kiedyś..."'

Umilkła. Oczy jej zgorączkowane i płonące, gasły powoli. Drżącemi palcami poprawiała jasne, rozwichrzone włosy, spoglądając gdzieś przed siebie, na legendarne, lasem podszyte wierzchołki „Trzech Koron", na srebrną wstęgę bulgocącego Dunajca.

Józef Nikodem Kłosowski

PRZEGLĄD POLITYCZNY

„Rewolucja narodowa" tryumfuje w całej pełni w Niemczech. Dni kulminacyjne jej zwycięstwa — to dwa posiedzenia nowego Reichstagu w dn. 21 i 23 marca. Tam ujawniło się, że Hitler z towarzyszami jest jedynym i nieograniczonym dyktatorem Rzeszy Niemieckiej i nadano tej sytuacji formę prawną.

Rewolucja ta różni się od innych dotychczas tem, że tylko i wyłącznie burzy i niszczy, nic nie budując, ani nawet nie zakreślając sobie poza frazesami i mieszczącemi się w tejże płaszczyźnie terminami („dwa czterolecia"), co zamierza stworzyć.

Pustka i beztreściwość obok nienawiści, zemsty i niszczycielstwa wyzierają z przemówień, wygłoszonych na uroczystościach nowego Reichstagu przez pp. Hitlera i Göringa. Warto specjalnie przestudjować stenogramy tych allokucji, aby o braku twórczej myśli u zwycięzców z dn. 5 marca przekonać się. Warto je przewertować także, aby przekonać się o całkowitej kapitulacji całej opozycji, która nie zdobyła się na żadne mocniejsze słowa, na żaden gest reakcji. Dotyczy to nietylko socjal-demokratów, w których uderzyły ciosy teroru, ale i stronnictw środka, którym żadna większa krzywda w okresie rozpasania hitleryzmu jeszcze nie stała się.

A więc w pierwszej programowej mowie Hitlera, pomijając dłuższy a przemyślany ustęp poświęcony polityce zagranicznej, napisany niewątpliwie przez tych samych dyplomatów, którzy i przed tem takie deklaracje sporządzali, pełne treści są tylko te odezwania się, które zawierają groźbę zapowiedzi zemsty i t. p. Wszystko inne rozpływa się w patrjotycznym patosie: odbudowa narodu i państwa, święte sztandary trójkolorowe, honor narodu i t. p. Nigdzie ani słowa o tem, w jaki sposób, jaką drogą nastąpi odbudowa czy to materjalna, czy moralna.

Krwi i barw nabiera deklaracja kanclerza, a jeszcze bardziej polemika z socjal-demokratą Welsem, gdy dochodzi do zapowiedzi represji i porachunków z przeciwnikiem.

Ustęp deklaracji dotyczący wymiaru sprawiedliwości miał np. następujące charakterystyczne brzmienie:

„Nieusuwalności sędziów po jednej stronie odpowiadać musi po drugiej elastyczność wyrokowania dla dobra społeczeństwa. Nie jednostka stanowić ma ośrodek troski prawodawcy, lecz naród. Zdrada kraju i narodu muszą na przyszłość być wypalone z barbarzyńską bezwzględnością".

Oto program, jak widzimy, w dziedzinie sądownictwa i wymiaru sprawiedliwości zupełnie wyraźny i odpowiadający aktom teroru, wykonywanym przez bandy hitlerowskie „dla dobra narodu i państwa".

Takie zadania umie Hitler sobie zakreślać i osiągać, potrafi znaleźć dla nich wymowne wyrazy. Nie brak mu ich też, gdy „rachuje się z przeciwnikiem".

A więc, gdy p. Wels (socjalista) żalił się na bezwzględność postępowania z partją tak, jakby nie istniały żadne ludzkie zobowiązania i jakby ci ludzie byli mówiąc po-niemiecku „vogelfrei", kanclerz odpowiedział mu: — „A co wyście z nami robili przez 14 lat? Mało jest pośród nas takich, którzyby nie przeszli przez wasze więzienia. Zapomnieliście — krzyczał z patosem — że przez długie lata zrywano z nas koszulę, o ile one były bronzowe. Zapomnieliście, że zabranialiście mi mówić, że chciano mnie, jak psa, szpicrutą wypędzić z kraju".

Kazał Hitler socjalistom być wdzięcznym, że ich tak łaskawie traktuje, bo przecież „...gdybym nie miał poczucia prawa, — mówił — to ani jabym tu nie przemawiał, ani panowieby tu nie siedzieli".

Każde z tych zdań witał tłum 288 koszul brunatnych głośnem wyciem radości. Ale strona przeciwna milczała, znikła, nie było jej. Okazało się to najwymowniej przy głosowaniu, w którem oprócz 288 hitlerowców i 60 kilku niemiecko-narodowych jeszcze przeszło setka innych posłów oddała swe głosy za pełnomocnictwami dla rządu Hitlera i tylko tego rządu (tak brzmi ustawa) uchwalając ją 441 głosami przeciw 94 socjalistom.

Z socjalistów brakowało 11 uwięzionych i około 20, którzy woleli nie przyjść. Nie było na sali 84 komunistów, a o tych legalnie wybranych posłów nikt nie upomniał się ani jednem słowem!

A cóż powiedzieli przedstawiciele partji środka?

Prałat Kaas w imieniu centrum „wyciągnął rękę do dawnych przeciwników dla dalszej pracy nad zabezpieczeniem dzieła odrodzenia narodu".

Ludowiec bawarski p. von Lex (o mowie jego nigdzie nawet nie wspominano) także zgłosił „gotowość do współpracy nad dziełem odbudowy narodu".

Ci dwaj mówcy katoliccy dali swemi oświadczeniami świadectwo prawdzie, że Kościół Katolicki w trosce o swoją sytuację, postanowili pojednać się z Hitlerem.

Nie lepiej brzmiały słowa jednego z niedobitków potężnej ongiś partji demokratycznej, noszącej teraz nazwę „partji państwowej". P. Maier ze Stuttgartu miał pewne zastrzeżenia i wątpliwości, oświadczył, że nieusuwalność sędziów nie powinna być naruszona, że prawa urzędników i wolność związków winny być zachowane, że równouprawnienie winno zostać nietykalne, że wolność sztuki, nauki i nauczania jest święta.

Ale w interesie narodu i ojczyzny oddał głos wraz ze swemi kolegami za ustawą.

Resztki opozycyjnej myśli bardzo zresztą wyblakłe i zasłonięte patrjotycznym parawanem z dziedziny polityki zagranicznej, znalazły przytułek w mowie p. Welsa, socjal-demokraty, który wyra-

żał nadzieję, że Hitler nie będzie się chyba dziwił głosowaniu socjalistów przeciw ustawie.

Hitler nie dziwił się, a nawet oświadczył, że nie chciałby mieć za sobą tych głosów.

Resztki ludzkiego języka zachował p. Wels w następującem zdaniu:

— Żadna ustawa o pełnomocnictwach nie daje wam mocy do niszczenia idei, które są wieczne i niezniszczalne. Ustawa o socjalistach za czasów cesarstwa nie zniszczyła socjal-demokracji. Stała się ona najsilniejszą partją. I z nowych prześladowań może socjal-demokracja niemiecka zaczerpnąć nową siłę".

Te słowa padły zresztą po poprzednich zdaniach, w których zwracał się Wels do Hitlera, aby w polityce wewnętrznej tak, jak i zewnętrznej, nie dzielił na zwycięzców i zwyciężonych, bo taki podział nie stwarza pokoju.

Tej obietnicy, jak wskazano wyżej, Hitler swoim przeciwnikom nie złożył. Bo gdyby ją złożył, wyzbyłby się wszelkiej treści.

Rewolucje poprzednie, nie sięgając dalej w przeszłość, niż do przewrotu sowieckiego w Rosji, oprócz burzy i zniszczenia, niosły ze sobą swoją ideowość i twórczość, stawiały na miejsce głazów, zwalisk i... trupów zręby nowego życia. Hitleryzm oprócz odwetu wojennego na zewnątrz, nie stawia nic, o ile nie liczyć krucjaty przeciw Żydom, krucjaty ohydnej, a jednocześnie nie mogącej zastąpić czynu. Weźmy rzeczy praktycznie: Hitler ma dać posady i możność zarobku miljonom swoich adherentów. Gdyby udało się wypędzić lub wyciąć wszystkich Żydów w Niemczech i gdyby przypuścić, że każdy Żyd reprezentował posadę, źródło dochodu, to na miejsce zniszczonych znalazłoby zatrudnienie dochód 600.000 Niemców-hitlerowców. Jest to akurat jedna dziesiąta część oficjalnej liczby bezrobotnych w Niemczech.

Czy zysk narodu niemieckiego uzyskany przy bezwzględnie przeprowadzonej eksterminacji Żydów wyrówna choć w części straty i materjalne i moralne, które Rzesza już poniosła od czasu zastosowania metod barbarzyństwa? Bezstronna odpowiedź na to pytanie może być tylko przecząca.

Straty moralne poniesione w opinji całego świata musiałby rząd Hitlera zrównoważyć jedną chyba tylko odezwą Mussolini'ego wydaną z okazji 14 rocznicy powstania organizacji bojowych faszystowskich.

W odezwie tej wódz faszyzmu włoskiego, najwidoczniej mając na myśli Niemcy, powiedział m. in.:

— Obecnie hasła nasze przekroczyły granice Italji. Doktryna nasza nabrała charakteru światowego. Dokonaliśmy dzieła, które da świadectwo o nas wobec przyszłych wieków. Pęki rózeg liktorskich związane są mocno jak nigdy, topór liktorski jest wyostrzony..."

Pod znakiem tego wyostrzonego topora miałaby się ułożyć przyszłość świata, losy Europy, nowe granice państw, naprawa traktatów pokojowych. Do tego zmierzać miał sławetny pakt czterech, którego projekt p. MacDonald otrzymał w Rzymie z rąk p. Mussolini'ego. W kancelarjach Auswärtiges-Amtu drżano z radości, że tak szybko „odrodzone państwo" zmierza do „celów narodowych". Ale to, co pięknie brzmi nad Tybrem, nie stanowi praw obowiązujących dla świata.

Epizod paktu rzymskiego i wywołane przezeń na terenie międzynarodowym konsekwencje z niezbitą żelazną logiką potwierdziły dla nas w Polsce starą zamierzchłą prawdę, którą głosili i wieszcze nasi i T-stwo Demokratyczne: Polska związana jest organicznie z wolnością i sprawiedliwością na świecie. Sojusz bezprawia i gwałtów zawsze jest przeciw niej wymierzony i nigdy w obozie, gdzie te pierwiastki lokują się, Polska nie może znaleźć zrozumienia, a aspiracje narodu polskiego uznania.

Byt polityczny Polski wiąże się z wolnością na świecie, utrwala się i umacnia w rozwoju demokracji, w niej ma pomimo wielu pozorów, oparcie i naturalnych sojuszników. W obozach walki z demokracją ma jeżeli nie wrogów, to największe trudności do pokonania. Zmieniać się mogą czasy i ludzie, zmieniać się mogą formy demokracji, ale tak, jak w Manifeście T-stwa Demokratycznego z 1836 r. Polska zostaje zawsze związana ze sprawą wolności na świecie, w obozie jej najtrwalsze znajdując rękojmie.

St. Gr.

LISTY DO »EPOKI«

Szanowny, Panie Redaktorze!

W rubryce „Z kraju", w jednem z pism codziennych, tutejszych, wyczytałem w tych dniach wiadomość, zakończoną słowami: „około 2500 przypatrywało się...". Oczywiście nie było tam 3 kropek, lecz znajdował się odpowiedni wyraz; kropki zaś umieściłem tu w tym celu, aby czytelnik „Epoki" mógł na chwilę zostanowić się nad tem, jakie widowisko zwaliło ku sobie tylu ciekawych widzów. Nie wątpię, że 99% powie odrazu, że chodzi o jakiś *mecz* sportowy z udziałem t. zw. *asów* no i 99% bardzo się omyli! Albowiem widowisko, o którem mowa, to... publiczne wykonanie kary śmierci prze powieszenie trzech morderców w Łunińcu.

Dwa tysiące pięćset widzów! Przypomina mi się Karol Dickens, który w jednym z romansów opisuje w sposób wstrząsający — straszne wprost wrażenie, jaki wywarł nań widok olbrzymiego motłochu, zgromadzonego dokoła miejsca kaźni. Okrutny wyraz twarzy obecnych, dzikie spojrzenia nabiegłych krwią oczu, cyniczne zachowanie się i wreszcie wyuzdane, niemożliwe to powtórzenia rozmowy, ba, nawet wesołe piosenki — wszystko to świadczyło w sposób najbardziej przekonuwający, iż rzekomy wpływ odstraszający kary śmierci, należy do rzędu owych zgubnych przesądów, które biedną ludzkość na manowce prowadziły i prowadzą.

Jeśli nawet zgodzić się na konieczność utrzymania kary śmierci (chociaż argumenty jej obrońców nie wytrzymują krytyki), to żadnej wątpliwości ulegać nie może słuszność postulatu, aby egzekucję wykonywano wyłącznie w obrębie więzienia, bez udziału publiczności. Jeśli chodzi, o urojone zresztą *odstraszenie*, to chyba wystarczy podawana do publicznej wiadomości notatka o dokonaniu egzekucji, jako *memento mori* dla przyszłych kandydatów do szubienicy, natomiast uniknie się zgubnych skutków, nieodłącznych do widoku t. zw. legalnego krwi rozlewu...

Łączę wyrazy poważania

L. L.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Dr. Klaus Mehnert: Młodzież z Rosji sowieckiej. Przekład z niemieckiego Heleny Weissowej. Wydawnictwo Nowoczesne. Warszawa 1933.

Dr. Józef Loos: Więzienia w Polsce. Cyfry i fakty. Wydawn. Ligi Obrony Praw Człowieka. Warszawa 1933.

Max Adler: Droga do socjalizmu. Spółdzielnia Wydawnicza Młodzieży Socjalistycznej. Skład główny w Księgarni Robotniczej. Warszawa 1933.

Stefan Napierski: Od Baudelaire'a do nadrealistów. Szkice i przekłady z nowoczesnej literatury francuskiej. Skład główny Gebethner i Wolff. Warszawa 1933.

Czesław Straszewicz. Wystawa bogów. Tow. Wydawnicze. Warszawa 1933.

Cyprjan Norwid: Poezje wybrane. Ułożył i przypisami opatrzył Miriam. Wydawnictwo J. Mortkowicza. Warszawa. 1933.

J. Wł. Dawid: Psychologja religji. Z portretem autora i życiorysem skreślonym przez Henryka Lukreca. Nakładem „Naszej Księgarni" Związku Nauczycielstwa Polskiego. Warszawa. 1933.

Stefan Żeromski: Organizacja inteligencji zawodowej. Wydane staraniem Unji Związków Zawodowych Pracowników Umysłowych. Z przedmową Henryką Rygiera. Tow. Wydawnicze w Warszawie. Warszawa — Kraków. 1933

Zygmunt Kisielewski: Margrabia. Sztuka w 4-ch aktach. Skład główny w „Domu Książki Polskiej". Warszawa. 1933.

Roman Brandstaetter: Tragedja Juljana Klaczki. Nakład wydawnictwa „Menora". Warszawa. 1933.

Aura Wyleżyńska: Z duszą twoją na ramieniu. Listy z Hiszpanji. Tow. Wydawn. „Pluszcz". Warszawa. 1933.

Joanna Podborska: Poczta polowa 118. Pamiętnik ku pokrzepieniu serc. Warszawa. 1933.

Świat i Życie. Zeszyt 3-ci Zarys encyklopedyczny współczesnej wiedzy i kultury. Książnica Atlas. Lwów — Warszawa. 1933.

TREŚĆ NUMERU

Przypominamy Sz. Czytelnikom, że czas odnowić prenumeratę na 2-gi kwartał 1933 r. Czytelnicy, którzy nadeślą przedpłatę, unikną przerwy w otrzymywaniu pisma. Prenumerata kwartalna—6 zł. (Konto P.K.O. Nr. 26.630).

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z.-221 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3